



Gazeta Sremska



ŚREM 1939

11-12/2012
ISSN 1231-7478
dwumiesięcznik
listopad/grudzień
rok XXI
cena 5 zł



Święta Bożego Narodzenia to czas
przeżywania wspólnych chwil
oraz okazja do obdarowywania
innych uśmiechem i dobrym słowem.

Niech zbliżające się Święta
napętnią radością i sprawią,
że nawet najdrobniejsze gesty dobroci
nabiorą większego znaczenia.

Życzymy, aby ten szczególny czas obfitował
we wzajemną życzliwość
i skłaniał do refleksji nad codziennością,
dodawał sił do pokonywania wszelkich słabości,
a Nowy Rok przyniósł zdrowie i pomyślność.

Katarzyna Sarnowska
Przewodnicząca
Rady Miejskiej w Śremie

Adam Lewandowski
Burmistrz Śremu





20 lat w „Rejentówce”

Ostatnie dwadzieścia lat to czas budowania dynamicznej oferty i zaufania odbiorców, zaistnienia w przestrzeni informacyjnej, uzyskania tożsamości (znaku rozpoznawczego) poprzez niepowtarzalną kolekcję obiektów muzealnych, a tym samym marki Muzeum Śremskie.

str. 8



Na przechadzce wspomnień

Pamiętam, że gdy sroga zima głęboko ścięła wodę na 1. moście przychodzili saperzy i wysadzali lód, aby ryby nie posnęły(...) Wiosną woda zalewała uliczki w okolicach szkoły.

str. 20



Listopadowy czas wróżb

Dziś już prawie nikt nie obserwuje pogody w tym dniu, a po dawnym znaczeniu pozostała ludowa wiedza zawarta w przysłowiach:
*Gdy święty Andrzej ze śniegiem przybieży, sto dni śnieg na polu leży.
Śnieg w świętego Andrzeja, zła dla żyta nadzieja.
Na świętego Andrzeja, trza kożucha dobrodzieja.*

str. 23

Spis treści

str. 03	444 słowa redaktora naczelnego
str. 04	Autorytety
str. 06	Iskra ognia maleńka
str. 08	20 lat w „Rejentówce”
str. 10	Wieści z ratusza
str. 16	Urodzony w błociszewskim pałacu
str. 18	Bluegrass - radosna energia Ameryki
str. 20	Na przechadzce wspomnień
str. 23	Listopadowy czas wróżb
str. 26	Przybyszewski- Meteory Młodej Polski cz. II
str. 29	Witold Pilecki - ochotnik do Auschwitz
str. 32	Od palety do patelni
str. 34	Potańcówki, bale i sentymenty

str. 36	Nacieszcie oczy i ducha...
str. 37	Nie zazdrość szczęścia tym, którzy żyją w raju głupców...
str. 40	Widelcem w Paryż
str. 42	Powrót do domu
str. 44	Eutanazja w Polsce jest nielegalna. Czyżby?
str. 46	Prawda ukryta w słowach
str. 48	Kto nie szanuje zmarłych nie szanuje też życia...
str. 51	Pieśń nieśmiertelna
str. 52	Muzeum - wydarzenia
str. 54	ŚOK - wydarzenia
str. 56	Internet w bibliotece
str. 58	Biblioteka - wydarzenia

30 lat w "Kielanowce"

Opisane w tym numerze jest to nowo wydany album, który zawiera 30 lat historii "Kielanowce" i jest to pierwszy album, który zawiera 30 lat historii "Kielanowce".

W tym numerze jest to nowo wydany album, który zawiera 30 lat historii "Kielanowce".



444 słowa redaktora naczelnego

W ubiegłym tygodniu byłem w kinie. Nie byłoby w tym nic godnego uwagi, bo wizyta w kinie (nawet moja) to jednak nie aż tak rzadkie przedsięwzięcie jak skok ze stratosfery, gdyby nie było to kino w Szczecinie. Kino Pionier. Nazwa obok stosownego certyfikatu potwierdza czasową otchłań jego powstania i nieprzerwanego działania od 1909 roku. Tak, to właśnie w dzisiejszej Polsce istnieje najdłużej funkcjonujące kino na świecie.

Na ekranie tego kina „Obława” Marcina Krzyształowicza. Obraz partyzanckiego fragmentu II wojny światowej tak przejmujący i obcy przyzwyczajeniom widzów, że gdy zwykle „na napisach” łomoczą opuszczane fotele, panuje cisza i nikt nie wstaje. Projekcja wywołująca emocje refleksyjne.

Podobnie w Śremie podczas plenerowego pokazu dokumentalnego filmu „Śrem 1939”, mimo oczywistych różnic treści, kontekstu, gatunku itd. Film wzbudza wielką ciekawość i ściąga na rynek tłum śremian o różnych oczekiwaniach i doświadczeniach, są ci co pamiętają oraz ci co chcą wiedzieć. Obraz stworzony przez niemieckiego frontowego filmowca Fischera też nie jest zgodny ze schematycznym widokiem okupacyjnej rzeczywistości. Czy Śrem widziany najpierw z daleka, a potem już z bliska jest prawdziwy?

Na rynku jak zwykle jest targowisko, nie ma śladu niedawnej zbrodni, a o gwałtownej zmianie sytuacji geopolitycznej dyskretnie przypomina pusty cokół po powstańczym śremskim doboszu. Po ulicach biegają beztroskie dzieci, jeżdżą furmanki i dorożki, ludzie zmierzają w swoją stronę. Tak widzi Śrem kamera niemieckiego kronikarza, ale nie sięga przecież wszędzie. Poza kadrem jest strach przed

przymusowym wysiedleniem, robotami, obozem koncentracyjnym i śmiercią. O zbrojnym oporze polskiego wojska przypominają ruiny żelaznego mostu, którego funkcję przejął zbudowany przez Niemców most drewniany. Ruch na nim ogromny. Dla wielu rodzin była to droga jednokierunkowa szlakiem ucieczki lub przymusowego wysiedlenia. W oczach autora filmu Śrem jest spokojnym miasteczkiem, gdzie podział na okupujących i podlegających okupacyjnym rygorom nie jest zaznaczony. Jedni i drudzy starannie wykonują swoje obowiązki, nie okazują wzajemnej niechęci, współpracują. Trzeba przecież naprawić uszkodzony wiadukt, zebrać jesienne plony, a przed świętami zaopatrzyć się w choinki. Nawet kiedy jedni idą do przymusowej pracy pod bronią tych drugih, uśmiechają się do kamery. Oko kamery i lufa karabinu zniekształcają nieco zachowanie człowieka. Przed obiektywem nikt nie powinien być głodny, więc niemiecki żołnierz dzieli się posiłkiem. Pan Fischer widział zapewne i mniej idylliczne obrazki, ale nie wszyscy chcieli je wówczas oglądać i im dedykował swój film. Chociaż film jest czarno-biały rzeczywistość nie była czarno-biała, miała różne odcienie szarości.

Co wynika z upublicznienia tego obrazu? Śrem istnieje w ogólnopolskich mediach informacyjnych. Badacze i miłośnicy historii Śremu mają jedyny dotychczas, dynamiczny obraz miasta. Film jest ważnym materiałem ikonograficznym i będzie inspirował: świadków wydarzeń do otwierania pamięci, młodych do zadawania pytań, twórców i badaczy do działania. Czy jest sensacyjny? Byłby bardziej, gdyby ludzie w niemieckich mundurach okazali się być...

Mariusz KONDZIELA

Autorytety

W Polsce było zawsze coś szczególnego, co wyróżniało nas przez całe wieki spośród innych narodów. Tym czymś była pojęta w swoisty sposób kultura. Nawet przy jej pobeżnym poznaniu rzuca się w oczy jej autentyczność, jak w słynnej kołodzie Franciszka Karpińskiego „Bóg się rodzi”. Skąd więc bierze się to nieudawane angażowanie się całych pokoleń Polaków, w działaniach zmierzających do przekazywania wartości kulturalnych? Myślę, że wzięło się to z pewnych „sprzeczności”... i oczywiście autorytetów...

Otóż, jeśli współistnienie otwartości i hermetyczności może funkcjonować na zasadach wzajemności, to jest to dowód na to, że wypracowany przez całe pokolenia polski system wartości kulturowych dobrze spełnia swoją rolę. Wiadomo bowiem, że otwartość objawiała się m.in. wielką ciekawością świata, jego łączącym poznawaniem, natomiast hermetyczność – wielkim szacunkiem dla własnej tradycji i obyczajowości. Przenikające więc do nas obce mody i wzory, poznawane np. podczas podróży, zderzały się zawsze z rodzimą kulturą i były przez nią modyfikowane, przetwarzane, aż zostały przystosowane do polskich norm, których nikt i nic nie potrafiło naruszyć.

Taki stan rzeczy to wynik wielu czynników. Najtragiczniejsze wydarzenia ostatniego stulecia – hitleryzm i stalinizm – bardzo przetrzebił Polską inteligencję, zawsze nadającą rytm rozwojowy kraju nad Wisłą. A dzisiaj, do głosu dochodzi „pokolenie big brothera”, które z założenia neguje wszelkie wartości. Możemy zapytać, co jest przyczyną sprawiającą, że my, jako naród, absolutnie nie nadajemy się do bycia „wielkim”. To nasze korzenie!

Polska zawsze miała pecha. To, że znaleźliśmy się między Niemcami a Rosją, było wybitną

złośliwością losu. Rozbiory, dwie wojny światowe, stalinizm, to właściwie esencja naszych ostatnich 200 lat. Krótkie okresy takie jak 20-lecie międzywojenne, czy III RP nie miały szansy nic tu naprawić. Wspólną cechą wymienionych okresów w historii Polski jest śmierć inteligencji. Inteligencji w znaczeniu sfery ludzi, którzy tworzą kulturę, cechują się wyższym statusem społecznym, politycznym, elokwencją, wykształceniem, słowem – elity kulturalnej. Wojny zabijały wszystkich, ale już w Powstaniu Warszawskim, ginęli głównie ludzie, którzy świadomie, rozumiejąc tragedię, szli na nie. Przypuszczam, że w większości była to owa inteligencja. W okresie zaborów, tępiona, lub przynajmniej mocno ograniczana była polskość jako taka, w okresie stalinizmu, inteligencja była wyniszczana, w okresie komunizmu, nie lubiana. Czterdzieści lat, to dość czasu, aby wpłynąć na pokolenia, pokolenia, które aby piąć się w górę potrzebowały być towarzyszami, robotnikami i idiotami, a nie pisarzami, filozofami, naukowcami. Na takich kariera nie czekała. Po drugie, poprzez odwrócenie drabiny społecznej, wypychała w górę, zapewniała pracę, mieszkanie w stolicy warstwom wiejskim, najmniej wartościowym pod względem intelektualnym. Nagradzała cały ten motłoch, który nie musiał posiadać ani krzty inteligencji, aby zajmować ważne stanowiska, przenieść się do dużych miast i tworzyć ekosystem państwa. W efekcie, gdy drabina znów się odwróciła w stronę, która utrzymywana jest przez zachodni świat, nagle okazało się, że nasz naród posiada marginalną liczbę osób o doświadczeniu i poziomie intelektualnym pozwalającym im sprawować wysokie funkcje. Resztę obsady trzeba było dobierać z poprzedniego systemu...

Dodatkowo komunizm uczył nas, jako naród, kombinować, oszukiwać, tworzył wprost idealną glebę dla krętaczy, dla kumoterstwa, nepotyzmu,

uczył nas jak oszukiwać o każdy grosz, lenić się i pokazywał wszystko w krzywym zwierciadle.

Iluż to w ostatnich latach odeszło Wielkich Polaków... Wielkich umysłów, autorytetów. Często zastanawiam się, czy to nie jedni z ostatnich: Jan Paweł II, ks. prof. Józef Tischner, Jan Nowak Jeziorański, Czesław Miłosz, Zygmunt Kałużyński, Stanisław Lem, Leszek Kołakowski... Ilu zostało? Może ksiądz Boniecki i... nie wiem, trudno mi w tym momencie podać inne nazwiska. Nazwiska ludzi, których zdania nie sposób nie szanować.

W kraju pozbawionym jakichkolwiek autorytetów, bardzo trudno wytworzyć kulturę wysoką, tzn. taką, która kształtuje umysły całego społeczeństwa. Brak takich autorytetów, szczególnie mocno widoczny jest w dniach, kiedy umierają Wielcy. Wynika to z kompleksów oraz z pewnego syndromu, który sprawia, że politycznie bliżej nam do Bliskiego Wschodu niż Europy. Brak wielkich autorytetów powoduje, że w społeczeństwie zaczyna brakować elektoratu centrowego. Większość świata Zachodu posiada w gruncie rzeczy podobne podejście do świata. Wychowani w duchu tolerancji, równouprawnienia, szacunku do drugiego człowieka, wolności słowa, demokracji, kapitalizmu, laicyzmu państwa i władzy oraz społeczeństwa obywatelskiego mogą głosować na różne partie, ale gdyby którakolwiek z nich zamachnęła się na pewne pryncypia, nie zdobędzie większości. Oczywiście, na tle nudnego centrum, od czasu do czasu, wyczuwając koniunkturę na chwilę wyskoczy w górę jakiś skrajny ekstremistyczny polityk, ale to tylko chwilowe i pryncypialnym ideom nie zagraża.

Obecne pokolenie Polaków nie jest wychowane w duchu żadnej z powyższych idei, i tak naprawdę dzielimy się politycznie i społecznie na prawicę, lewicę i tych, którzy nie angażują się w nic. Prawicy i Lewicy jest więcej niż na Zachodzie, i póki pokolenie naszych rodziców nie wymrze, tak pozostanie. Ludzie, którzy spędzili większość życia w komunizmie, nigdy nie uwolnią się od niego. Natomiast ta rosnąca grupa „olewających”, to właśnie, w normalnym społeczeństwie, elektorat centrum. Ludzie wychowani w poczuciu, że w wyborach należy

głosować, że jest to Święto Demokracji, głosują zawsze, a ponieważ nie walczą, to nie głosują na żadne lewice ani prawice, tylko na partie centrowe. To czy dana partia jest bardziej konserwatywna czy bardziej liberalna, czy bardziej społeczna czy bardziej kapitalistyczna to inna sprawa, ale walka odbywa się między dużymi partiami polityków podzielających pryncypialne idee, i różniących się metodami ich wykonania.

Kultura dzisiejszej Polski powinna przypominać dawne słynne *silva rerum*, tzn. rzeczy różne. Ta kultura wysoka, w przeciwieństwie do masowej, daje bardzo wiele. Odpowiada na pytania albo zadaje pytania z dziedziny egzystencjalnej, eschatologicznej, filozoficznej. Niekiedy pomaga także w dylematach religijnych. To właśnie jest pasjonujące w kulturze wysokiej. Jest nam to po prostu potrzebne jak chleb. Jeśli coraz więcej młodych będzie odczuwać potrzebę dzieł, które sycą, to będzie dobrze. Bo kultura masowa, popularna, nie syci... Przypuszczam, że kończy się jakiś czas, a zaczyna się nowy. Oczywiście czas dla kultury wysokiej. Jest nadzieja, że będzie ona trwała, ale chyba się bardzo zmieni, tak jak zmienia się młode pokolenie, z którym coraz trudniej się porozumieć na punkcie wspólnych wartości, przeczytanych książek, obejrzanych filmów, słuchanej muzyki. Tych punktów wspólnych jest coraz mniej. Nie wiem, jaka kultura będzie się rodzić w przyszłości w Internecie. Dzisiaj wszelkie dyskusje prowadzone na blogach, to coś zatrwającego. I nie jest to tylko zwykły niepokój...

To, czy dzisiaj powinniśmy się wstydzić, jak się to nam często sugeruje, tej kultury naszych praojców, czy też pielęgnować to dziedzictwo i iskrę ofiarowanej nam dawnej wielkości rozniecić w sobie w wielki płomień – pozostawiam do oceny obywatelom. Zanim jednak podejmie się jakąkolwiek decyzję, trzeba na moment wyłączyć telewizor i jeden zimowy wieczór spędzić na przemyśleniu dziejów narodu, które są przeciwieństwem naszej historii, naszymi korzeniami. Skoro nie ma autorytetów, to autorytetem może być każdy. Zacznijmy więc od siebie.

Andrzej DĘBKOWSKI

Iskra ognia maleńka

Warto przypomnieć

XXXV Międzynarodowy Listopad Poetycki odbywał się w dniach 6-9 listopada 2012 r. Zebrało się ponad sześćdziesięciu poetów polskich i zagranicznych z Armenii, Litwy, Węgier, Niemiec, Macedonii, Serbii, Wietnamu, Chin i Rosji. Już we wtorek po południu swoją twórczość prezentowała grupa młodych literatów pod kierunkiem Łucji Dudzińskiej. Następnie w tym samym miejscu uczestnicy festiwalu czytali wiersze swoich ulubionych poetów. Dominowały utwory Władysława Broniewskiego, którego rok właśnie obchodzimy. Od rana 7 listopada miała miejsce oficjalna inauguracja – zabrakło miejsc w auli Lubrańskiego UAM. Zaszczycił ją swą obecnością Dyrektor Biura Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu Edmund Dudziński. Podczas uroczystości wręczono nagrodę XXXV MLP za Książkę Roku.

Otrzymał ją były prezes naszego oddziału, śremianin Zbigniew Gordziej. Rzeźbę autorstwa Kazimierza Rafalika wręczył nagrodzonemu poecie przewodniczący jury konkursowego, Dariusz Tomasz Lebioda. W konkursie na najlepszą książkę Międzynarodowego Listopada Poetyckiego zostali także wyróżnieni: Danuta Bartosz, Karol Samsel, Elżbieta Musiał, Adam Lewandowski i Kazimierz Burnat, a Lech Konopiński i Ryszard Podlewski otrzymali nagrodę za całokształt twórczości satyrycznej. Redaktor „Głosu Wielkopolskiego”, Włodzimierz Braniecki, przedstawił również laureata Nagrody im. Kazimierzy Iłakowiczówny, którym został dwudziestoletni poeta Kacper Płusa, autor tomiku wierszy „Ze skraju i ze światła”. Dyrektor Biura Towarzystwa im. H. Cegielskiego, Edmund Dudziński, wyróżnił Medalem Labor Omnia

Od lewej: R. Mieczkowski, Z. Gordziej, N. Szmyt, A. Borowicz Tchórzewska



Romuald Mieczkowski w Katolickiej Szkole Podstawowej i Gimnazjum



Vincit Marię Magdalenę Pocgaj i Dariusza Tomasza Lebiotę. Nagrodę Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej otrzymała nestorka poznańskich poetów Helena Gordziej za całokształt twórczości, Danuta Mucha z Piotrkowa Trybunalskiego za tom poezji pt. *Myśli myślą oraz poetka z Chin – Zhao Zhifang* za przekłady. Na uroczystości była obecna Małgorzata Różańska, wdowa po Witku Różańskim, która wraz z dziennikarką Radia Emaus, Aleksandrą Wyganowską, wręczyła nagrodę fundacji imienia zmarłego poety. „Złotą książkę” otrzymał warszawski poeta Stefan Jurkowski.

Obszerny program uroczystości oraz obowiązki służbowe prof. dr. Stanisława Kowalika, uniemożliwiły niestety wygłoszenie znakomitego eseju pt. „Pukanie do wrót umysłu... poezją” zamieszczonego w almanachu XXXV MLP Iskra ognia maleńka. Esej wzrusza psychologię jako ważne ogniwo do zrozumienia poezji. Nie tylko filozofia, ale jeszcze i psychologia wspierają tajemnicze poetyckie strofy. Inaugurację zwieńczył Maraton Poetycki tradycyjnie prowadzony przez Teresę Januchtę, a ostatnim punktem programu był występ barda rosyjskiego Władimira Stockmana. Potem były lekcje poetyckie w szkołach i spotkania autorskie na terenie Poznania. Wieczorem w Muzeum Archidiecezjalnym na Ostrowie Tumskim miało

miejsce wzruszające spotkanie: aktor Teatru Nowego, Aleksander Machalica, czytał na tle pięknej muzyki jazzowej wiersze zmarłych w ostatnim czasie poetów. Na scenie zapłonęły znicze symbolizujące pamięć o Łucji Danielewskiej, Jadwidze Badowskiej, Janinie Gzowskiej, Irenie Kiełczewskiej, Annie Zabackiej, Witku Różańskim, Tomaszu Agatowskim, Nikosie Chadzinikolau, Eugeniuszu Szulborskim, Zbigniewie Jerzynie, Krzysztofie Gąsiorowskim, Andrzeju K. Waśkiewiczu. Czwartek, 8 listopada, trzeci festiwalowy dzień upłynął poetom na spotkaniach w szkołach i bibliotekach Wielkopolski: między innymi w Śremie, Koninie. Co to były za miłe spotkania. Śremianka Nina Szmyt swój poetycki kunszt prezentowała uczniom Gimnazjum Nr 2, a Zbigniew Gordziej w Zespole Szkół Ogólnokształcących. W Śremie gościli jeszcze: Aldona Borowicz – Tchórzewska, Zdzisława Kaczmarek, Romuald Mieczkowski. Wieczorem w „Markietance” można było zasłuchać się w poezję poetów zagranicznych i pieśni w wykonaniu rosyjskiego barda Evgena Malinowskiego.

Adam LEWANDOWSKI

foto. archiwum biblioteki



20 lat w „Rejentówce”

Pojęcie „jubileusz” definiuje się jako szczególną rocznicę istnienia jakiejś instytucji, organizacji czy długoletniego działania, życia człowieka. Mówiąc prosto nie każda rocznica jest jubileuszem, mimo że każda okazja jest dobra do świętowania. Wiemy, że trudno jest cierpliwie czekać na tę szczególną rocznicę, bo chociaż jubileusz 10-lecia znajduje się jeszcze w perspektywie czasowej znacznej większości ludzi, to niestety później trzeba już poczekać kilkanaście lat do srebrnego jubileuszu. Żyjąc zdrowo przez dalsze 25 lat otrzymamy się z dużym prawdopodobieństwem o jubileusz złoty, ale żeby dostojnemu jubilatowi zaśpiewać głośne „100 lat, 100 lat niech żyje, żyje nam” to już trzeba być długodystansowcem. Nie będę dalej rozwijał tego wywodu, bo gołym okiem widać do czego dojdziemy przy odrobinie konsekwencji.

Ale bywa czasem tak, że bezrefleksyjne trzymanie się przedziałów czasowych wyznaczanych przez liczby gubi istotę rzeczy. I tak rozprawiając w gronie pracowników i współpracowników o 20. rocznicy funkcjonowania Muzeum Śremskiego w willi przy ulicy Mickiewicza 89 zdałem sobie sprawę, że był to okres wyjątkowy, dający się wpisać w inne ramy niż czas, wart choćby krótkiego podsumowania, taki ... jubileuszowy.

Początek lat 90. był dla Muzeum Śremskiego czasem poszukiwania nowej formuły społecznej akceptacji poprzez promocję i aktywność dostrzeganą i „kupowaną” od razu, a nie kumulowaną dla przyszłych pokoleń. Zamyśl ten ucieleśnił się realizacją oferty angażującej widza w aktywną kreację programu „Sentymenty”

Pokaz multimedialny z zakresu wideo, performance'u dokamelowego i fotografii autorstwa Katarzyny Jankowiak - 2012 r.



opisującego najnowszą historię regionu oraz w twórczy udział w muzealnym Fotoatelier, w którym znika granica między widzem a ekspozycją. Redagowana w muzeum Gazeta Śremska stała się miejscem aktywności części śremian, a muzealny ogród został kolejnym wnętrzem transferującym wernisaże, koncerty, „Noce w Muzeum” w przestrzeń publiczną. W owym czasie stabilizował się także program wystawienniczy obejmujący: rocznice wydarzeń lokalnych lub narodowych, kolekcje prywatne, pod zbiory Muzeum Śremskiego, historię Śremu w ujęciu problemowym, sztukę i dawne rzemiosło; kilkanaście razy w roku różne wystawy gromadziły coraz bardziej stabilne grono widzów, których naturalny dystans do instytucji malał. Kilkutysięczną publiczność zapewnił muzeum konsekwentnie realizowany program edukacyjny, który służy popularyzacji wiedzy o historii regionu, zwyczajach i obrzędach ludowych. Wszystkie zajęcia prowadzone są metodami aktywizującymi z zastosowaniem działań warsztatowych i samodzielnej pracy młodych uczestników. Muzeum szczyci się unikatowym zbiorem machin miotających tworzonych w myśl

dawnych, mistrzowskich reguł przez niezapomnianego Jerzego Jurę. Muzeum jest partnerem instytucji kulturalnych w partnerskich miastach zagranicznych Czech i Niemiec: w Rožnovie pod Radhoštěm i Bergen.

Ostatnie dwadzieścia lat to czas budowania dynamicznej oferty i zaufania odbiorców, zaistnienia w przestrzeni informacyjnej, uzyskania tożsamości (znaku rozpoznawczego) poprzez niepowtarzalną kolekcję obiektów muzealnych, a tym samym marki Muzeum Śremskie. Ugruntowanie pozycji może być mierzone sukcesami w ponadregionalnych konkursach muzealnych obejmujących działalność wydawniczą, konserwatorską, wystawienniczą oraz prasowych w odniesieniu do Gazety Śremskiej.

Nie jest więc najistotniejsze jak długo wędrowaliśmy drogą opisaną powyżej, ważne, że wyznaczyliśmy tę drogę i z konsekwencją Syzyfa, ale z o wiele lepszym skutkiem po niej się poruszaliśmy. Skoro droga niezbyt wyboista a kierunek słuszny idziemy nią dalej. Ale trzymając się terminologii drogowej zbliżamy

Otwarcie wystawy Anki Mierzejewskiej - „Moi Mężczyźni” w dniu 30 września 2012 r.



się do wjazdu na drogę ekspresową. Droga ekspresowa naszpikowana jest elektroniką, po prostu nowoczesna. Co widać z tej perspektywy?

Standardem staną się nowe formy upubliczniania zbiorów muzealnych wykorzystujące nowoczesne technologie informatyczne i medialne. W sprzężeniu „nowości” i „dawności” strzec się trzeba odczłowieczenia przekazu poprzez zachowanie klimatu przychylności, a więc obecności pełnego empatii człowieka (muzealnika) i ograniczania sformalizowania zachowań do niezbędnego minimum. Zwiastunem nowych sposobów komunikacji z widzem jest funkcjonujący od dwóch lat „Wideoklip do hymnu” - multimedialna prezentacja edukacyjno-patriotyczna tworzy przestrzenie ekspozycyjne zdominowane przez system multimedialny, projekcje wideo, zindywidualizowane stoiska audio-wizualne i nowy wielofunkcyjny układ architektoniczny pawilonu (galerii), które mają za zadanie zachęcić współczesnego, również młodego odbiorcę do czynnego udziału w dialogu społecznym dotyczącym współczesnych form patriotyzmu i pielęgnowania świadomości narodowej. Muzeum Śremskie

funkcjonuje w przestrzeni publicznej zarówno w informacyjnej jak również fizycznej poprzez udział w przygotowaniu oficjalnych uroczystości miejskich. Coraz bardziej realne staje się otwarcie najbliższego otoczenia muzeum od strony promenady nadwarciańskiej, uatrakcyjnienie przestrzeni czasowymi mobilnymi prezentacjami artystycznymi. Umożliwi to wprowadzenie muzeum i jego dziedzinka ogrodowego w ciąg spacerowo-turystyczny związany z rzeką Wartą poprzez promenadę, wieżę ciśnień oraz miejskie trasy turystyczne. Kluczowym elementem zaadaptowanej na potrzeby ruchu turystycznego wieży wodociągowej może być przysposobienie wnętrza nieczynnego zbiornika na multimedialną panoramę historycznego Śrems z różnych okresów.

Za Muzeum Śremskim pozostaje satysfakcja z odkrywania skarbów kultury, historii, rodzimej tradycji i różnych działań w kręgu tak zwanej społeczności lokalnej, ale na szczęście przed są marzenia, plany, zapał, perspektywy – po prostu dobry widok na przyszłość. Przyszłość, do której podsumowania upoważni kolejna szczególna rocznica.

Mariusz KONDZIELA

Pracownicy muzeum wraz z młodzieżą ze Szkoły Podstawowej Nr 4 w muzealnym FOTOATELIER



ŚREM



Wieści z ratusza

Budowa partnerstwa w działaniach na rzecz społeczności lokalnej

W dniu 25 września 2012 r. w restauracji „Don Giovanni”, z inicjatywy Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy w Śremie, odbyło się drugie spotkanie poświęcone budowaniu partnerstwa w działaniach na rzecz społeczności lokalnej. Uczestniczyli w nim Anna Szmyt-Baranowska – reprezentująca Urząd Miejski w Śremie, Ewa Kaźmierczak – dyrektor Śremskiego Ośrodka Kultury, Maria Świdurska – kierownik Ośrodka Pomocy Społecznej, Krystyna Szymańska – prezes Towarzystwa Pomocy Potrzebującym im. Św. Brata Alberta „Nadzieja”, Elżbieta Calińska – reprezentująca Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji, Danuta Płygawko – członek rady redakcyjnej wydawnictwa „Śrem w małych

monografiach” oraz pracownicy śremskiej biblioteki. Centrum Wspierania Aktywności Lokalnej reprezentował Damian Dec – animator doradca z Wrocławia.

Wprowadzając w temat spotkania dyrektor biblioteki Jerzy Kondras przybliżył zebrany ideę partnerstwa. Wyraził przekonanie, że podstawowym dążeniem bibliotekarzy jest wypracowanie mechanizmów trwałego i efektywnego działania w celu najlepszego wykorzystania zasobów każdego podmiotu zauważającego sens podejmowania wspólnych działań, odpowiadających na lokalne potrzeby. W praktyce partnerami bibliotecznych inicjatyw mogą być wszyscy zaangażowani w życie społeczno-gospodarcze odnajdujący w naszych

Debata na temat budowania partnerstwa w działalności na rzecz społeczności lokalnej





Spotkanie poświęcone współpracy w ramach przedsiębiorczości społecznej

działaniach także własne cele. Pośród wielu zalet partnerskiej współpracy najważniejsze wydaje się zaspokajanie potrzeb lokalnych, lepsza koordynacja działań, promocja wizerunku partnerów, a zwłaszcza możliwość pozyskania dodatkowych środków finansowych.

Biorąc pod uwagę właśnie te aspekty uzgodniono zadania, które znalazły się w planie działania na lata 2012-2013. Wskazano na konieczność i celowość opracowania rocznego miejsko-gminnego kalendarza planowanych imprez w celu zharmonizowania działań różnych organizatorów. Ponadto zgodzono się, że należy organizować co kwartał spotkania, podczas których możliwa będzie wymiana informacji między instytucjami a organizacjami pozarządowymi na temat różnych dostępnych projektów i zawierania partnerstw do ich realizacji. Lidia Tomczak, bibliotekarka ze śremskiej biblioteki, omówiła projekt pod roboczym tytułem Częstotliwość „k” propagujący czytelnictwo i integrujący różne pokolenia czytelników. Zadanie będzie realizowane od lutego do kwietnia 2013 roku. Propozycja ta spotkała się z aprobatą zebranych, a tym samym pozyskała partnerów do realizacji. Na zakończenie o prawnych aspektach

partnerstwa mówił Damian Dec. Dodał, że w dużej mierze partnerstwo w działaniu opiera się na zaufaniu, wspólnych celach i rzeczywistej potrzebie systematycznej współpracy.

Partnerstwo jest otwarte dla wszystkich instytucji, stowarzyszeń, organizacji i osób. Zapraszamy do współpracy. Kolejne spotkanie partnerów zaplanowano pod koniec listopada. Gmina Śrem – aktywność w obszarze ekonomii społecznej

Kolejny etap w procesie współpracy podmiotów lokalnego życia publicznego – samorządu gminy Śrem oraz powiatu to spotkanie, które odbyło się w dniu 28 września br. w siedzibie Ośrodka Pomocy Społecznej w Śremie.

W rozmowach prowadzonych do utworzenia samorządowej spółdzielni socjalnej uczestniczył patronujący temu przedsięwzięciu Burmistrz Śremu Adam Lewandowski, który zaprosił do udziału w realizacji działań wsparcia podmiotów ekonomii społecznej wicestarostę Daniela Cicharskiego i Przewodniczącego Rady Powiatu Śremskiego Romana Szydłowskiego, ekspertów ze Stowarzyszenia Na Rzecz Spółdzielni Socjalnych Przemysław Piechocki i Zbigniewa Prałata oraz partnera projektu



Obchody Dnia Edukacji Narodowej

aktywnej integracji Zofię Barcz z Powiatowego Urzędu Pracy. Zagadnienia bezpośrednio związane z utworzeniem podmiotu ekonomii społecznej przedstawiła Kierownik Ośrodka Pomocy Społecznej.

Projekt utworzenia spółdzielni socjalnej osób prawnych na terenie gminy Śrem poruszony został wcześniej, bo już w czerwcu podczas Regionalnego Seminarium – ekonomiczny i społeczny wymiar ekonomii społecznej, a dyskusja w gronie ekspertów służyła znalezieniu rozwiązań lokalnych problemów społecznych i wykorzystania instrumentów aktywnej integracji.

Z badań przeprowadzonych przez Ogólnopolski Związek Rewizyjny Spółdzielni Socjalnych wynika, że obecnie jest zarejestrowanych 474 spółdzielni socjalnych, a prym wiedzie województwo wielkopolskie, gdzie w rejestrze figuruje najwięcej, bo aż 60 spółdzielni.

Burmistrz Śremu mówiąc o systemie wsparcia finansowego spółdzielni socjalnej stwierdził, że proces tworzenia profesjonalnie działającej spółdzielni socjalnej jest złożony i wymaga zaangażowania i dobrej współpracy wielu

podmiotów oraz sektora biznesu. Utworzenie spółdzielni to dla samorządu lokalnego nie koszt, ale inwestycja oferująca osobom społecznie wykluczonym szacunek i aktywne życie oraz korzyści w wymiarze gospodarczymi społecznym.

Uczestnicy spotkania wyrazili przekonanie, że podjęta współpraca w ramach przedsiębiorczości społecznej stworzy trwały efekt działań w formie SPÓŁDZIELNI SOCJALNEJ ŚREM.

Dzień Edukacji Narodowej i otwarcie sali gimnastycznej w Krzyżanowie

W piątek, 12 października br. w Szkole Podstawowej im. Władysława Reymonta w Krzyżanowie odbyła się uroczystość otwarcia nowo wybudowanej sali gimnastycznej połączona z Dniem Edukacji Narodowej. O godzinie 12.00 przedstawiciele władz samorządowych, jednostek oświatowych i kulturalnych zebrali się, by wspólnie świętować. Uroczystość rozpoczęła się krótkimi wystąpieniami Dyrektora SP w Krzyżanowie, Andrzeja Szuberta oraz Burmistrza Śremu, Adama Lewandowskiego. Oficjalnego otwarcia – przecięcia wstęgi dokonali m.in. Andrzej Szubert, Adam Lewandowski i sołtys wsi



Uroczyste otwarcie sali gimnastycznej w Krzyżanowie

Krzyżanowo Jacek Michalski. Następnie ksiądz Ryszard Adamczak dokonał poświęcenia budynku. W części artystycznej zgromadzeni goście mogli podziwiać występy uczniów SP w Krzyżanowie. Dzieciaki przygotowały pokaz gimnastyki, dryblingu, aerobiku, zainscenizowały starożytne igrzyska, wyjaśniając przy okazji znaczenie kół olimpijskich i ich kolorystyki. Na koniec wszyscy uczniowie wykonali „We Are the Champions” zespołu Queen. Uroczystość zakończyła się wręczeniem listów gratulacyjnych nauczycielom i dyrektorom jednostek oświatowych, czym uczczono Dzień Edukacji Narodowej.

Jesień na Łęgach Mechlińskich za nami!

W niedzielę, 14 października br. na terenie Mechlińskiego Parku Krajobrazowego odbyła się impreza pod hasłem „Jesień na Łęgach Mechlińskich”. Ci którzy chcieli podziwiać okolice, mogli skorzystać z rejsu statkiem „Bajka” wzdłuż Łęgów. Część właściwa rozpoczęła się kwadrans przed 11.00 mszą św. przy krzyżu Skrzydlewskiego. Koncert Orkiestry Towarzystwa Muzycznego im. Mariana Zielińskiego w Śremie rozpoczął część

artystyczno – rozrywkową imprezy. Kolejne punkty programu dostarczyły gościom niezwykłych wrażeń. Mogli oni podziwiać pokazy sokolników, prezentacje łowieckich sygnałów. Jednym z ciekawszych punktów programu okazały się pokazy psów myśliwskich oraz wyścigi chartów. Pokazy zakończyła tradycyjna gonitwa za lisem. Czas umilał zebrany gościom zespół JIM BAND. Na tych, którym dopisał apetyt czekała grochówka z harcerskiej kuchni polowej, dania z grilla i mechlińskie słodkości.

Uroczystości 73. rocznicy zbrodni na mieszkańcach Śremu

W dniu 20 października 2012 r. uroczysta msza święta w śremskiej farze, koncelebrowana pod przewodnictwem ks. prałata Mariana Bruckiego – dziekana dekanatu śremskiego, rozpoczęła obchody 73. rocznicy zamordowania śremian jesienią 1939 roku. Po mszy na cmentarzu parafialnym, modlono się nad zbiorową mogiłą za dusze rozstrzelanych. Na grobie zamordowanych śremian złożono kwiaty oraz zapalono znicze. Następnie przy akompaniamencie marszowym Orkiestry Dętej Towarzystwa



Apel Poległych podczas uroczystości 73. rocznicy zbrodni na mieszkańcach Śremu

Muzycznego im. Mariana Zielińskiego kompania honorowa 6 Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych, poczty sztandarowe, harcerze, oraz delegacje przeszły ulicami Śremu na płytę śremskiego rynku. Uroczystości na Placu 20 Października poprowadzili harcerze Hufca ZHP Śrem im. Mazurka Dąbrowskiego, którzy rozświetlając płomieniami ogniska pamięci oraz pochodniami wytworzyli szczególną atmosferę. Burmistrz Śremu Adam Lewandowski w swoim wystąpieniu nawiązał do życia miasta i jego mieszkańców, w cieniu zbrodni jakie dokonał najeźdźca hitlerowski jesienią 1939 roku. Następnie zaprosił na projekcję pozyskanego tego roku filmu dokumentalnego zrealizowanego przez niemieckiego żołnierza Fishera, który podczas okupacji służył w Śremie, w 118 batalionie piechoty Wehrmachtu. Zapowiadana w mediach ogólnopolskich publiczna projekcja filmu przyciągnęła na rynek wielu zainteresowanych historią regionu śremskiego. Podczas uroczystości odczytany został Apel Poległych, po którym kompania reprezentacyjna oddała salwę honorową. Na zakończenie na płycie pomnika upamiętniającego tragiczne wydarzenia z 1939 roku delegacje złożyły wiązanki kwiatów.

Świąteczny kiermasz na Jezioranach (deptak)

8 grudnia br. od godziny 10.00 deptak na Jezioranach przyciągał świątecznym klimatem. Zamiast corocznej Anielskiej Wigilii na rynku zorganizowano kiermasz z upominkami, słodkościami, świątecznymi ozdobami i wszystkim czego nie może zabraknąć na wigilijnym stole. Stoiska cieszyły się ogromnym powodzeniem. Wszyscy Ci, którzy wybrali się na sobotnie, targowe zakupy mogli powiększyć zapasy bożonarodzeniowych ozdób i przy okazji spróbować świątecznych słodkości. Prócz uciechy z różnorodności stoisk, zgromadzeni przechodnie mogli podziwiać świąteczne prezentacje szkół, do których uczniowie jak co roku przygotowali się celująco. Dla dzieciaków zorganizowano wiele zabaw i konkursów. Deptak zaczerwienił się od Mikołajów, a świąteczna atmosfera udzielała się wszystkim.

Urodzony w błociszewskim pałacu

Wojciech, syn Daniela i Julii z Ponikiewskich, ostatni z 11 pokolenia Kęszyckich z wielkopolskiej linii tego rodu, obchodził niedawno 90 urodziny. Przyszedł na świat w Błociszewie 30 maja 1922 r., jako najmłodszy z ośmiorga rodzeństwa. Jego ojcem chrzestnym był Wojciech Korfanty, działacz polityczny tamtych czasów i przyjaciel ojca.

Żona Maria Kęszycka, najbliższa rodzina, przyjaciele i współpracownicy Jubilata, przygotowali na jego cześć urodzinową uroczystość w błociszewskim pałacu, który powrócił po kilkudziesięciu latach do dawnych właścicieli. „Nałęcz”, herb szlacheckiego rodu Kęszyckich, umieszczono na neorokokowej fasadzie pałacu prawie 120 lat temu (rocznica budowy przypada w 2013 r.).

Chłopięce lata, jak wspominał Wojciech Kęszycki upłynęły mu szczęśliwie i beztrudno.

Podstawową naukę pobierał w domu pod okiem guwernantek. Wychowywany był przez ojca (matka Julia zmarła w 1923 r.) w poczuciu odpowiedzialności i porządku. Miał wiele okazji zobaczyć w Błociszewie znanych ludzi, polityków, generałów, biskupów, znamienitych obywateli miasta Śremu, których bardzo często gościł u siebie Daniel Kęszycki.

Poznawał najbliższą okolicę, rolnicze zajęcia w różnych porach roku, czytał książki zgromadzone na półkach ojcowskiej biblioteki. Obserwował społeczną aktywność ojca i był dumny z tego, jakim darzono go powszechnie szacunkiem. Żył w braterskiej zgodzie ze starszym rodzeństwem.

Po śmierci ojca w 1936 r., opieka nad rodzeństwem i majątkiem spadła na barki brata Stefana. Czternastoletni Wojciech był wówczas uczniem gimnazjum im. A. Mickiewicza w Poznaniu, po czym zapisał się do Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Gdyby nie wybuch wojny w 1939 r. zostałby, jak ojciec oficerem marynarki. Pierwsze tygodnie okupacji spędził w Błociszewie, aż do chwili wyrzucenia Kęszyckich z pałacu przez Niemców w listopadzie 1939 r. Młodzi Kęszyccy zamieszkali w okolicach Warszawy. Wojciech, pod pseudonimem „Monokl” szybko włączył się w działalność konspiracyjną. Działał w wywiadzie Tajnej Armii Polskiej i ukończył kurs podchorążych piechoty. Potem, jako żołnierz Armii Krajowej na rzeszowszczyźnie i adiutant komendanta placówki w Zassowie koło Dębicy, brał udział w zabezpieczaniu miejsc zrzutów broni i zaopatrzenia z alianckich samolotów i akcji „Burza”. Po zakończeniu

Wojciech Kęszycki w karykaturze Eugeniusza A. Ferstera



wojny dowiedział się o śmierci braci i siostry. Antoni, podchorąży 29. Pułku Piechoty poległ w kampanii wrześniowej w 1939 r., Stefan zginął w obozie koncentracyjnym Mauthausen (1940 r.), Józefa w Ravensbrück (1942 r.). Powrót do rodzinnego domu nie był możliwy, jako że pałac i dobra błociszewskie przejęte zostały na mocy dekretu o reformie rolnej na własność państwa. Osiedlił się więc w Poznaniu i mimo kłopotów materialnych i mocno szkodzącej łatki „syna hrabiego i obszarnika” ukończył w 1951 r. studia z zakresu bankowości na Akademii Handlowej w Poznaniu. Ze stolicą Wielkopolski związał całą karierę zawodową, pracując w latach 1947-1982 w Narodowym Banku Polskim.

Był współzałożycielem środowiska „Wierchy” przy Zarządzie Okręgu AK w Poznaniu i jego wiceprezesem. Pełnił funkcję prezesa Oddziału Wielkopolskiego Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego. Od 2008 r. piastuje godność członka honorowego PTZ.

Mundur kapitana rez. WP, Wojciecha Kęszyckiego zdobią odznaczenia – Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki, Medal Wojska i Medal Pro Memoria.

Dzięki staraniom W. Kęszyckiego ukazała się drukiem druga część wspomnień ojca z lat 1918-1920, pt. *Z dni powstania wielkopolskiego*

(Poznań 2005), opatrzonych wstępnym szkicem napisanym przez syna, upamiętniającym sylwetkę i działalność tego zasłużonego „kronikarza śremskiej rewolucji” sprzed 94 lat. Artykuły W. Kęszyckiego były publikowane na łamach kwartalnika „Wiadomości Ziemiańskie”.

Nie sposób w tym miejscu pominąć zainteresowań W. Kęszyckiego przeszłością Śremską. Dawał i daje temu wielokrotnie dowody, dzieląc się wiedzą na ten temat czerpaną z własnej pamięci i w oparciu o zachowane w prywatnym archiwum dokumenty i fotografie.

Dostojny Jubilat odebrał w dniu urodzin liczne gratulacje i życzenia składane w mowach i pisemnych adresach. Został też obdarowany naręczami kwiatów i upominkami. Bardzo się ucieszył z własnej karykatury narysowanej przez artystę-grafika Eugeniusza A. Ferstera, ofiarowanej mu przez Danutę Płygawko i niżej podpisanego. Pan Wojciech z właściwą sobie otwartością i humorem, dziękując za ten oryginalny prezent, tak powiedział o walorach dzieła: „Według profesora Bralczyka, karykatura to obraz uwydatniający charakterystyczne cechy postaci. I wszystko się tu zgadza!”.

Adam PODSIADŁY
foto. autor

Błociszewo. Szampański toast na cześć 90-lecia urodzin Wojciecha Kęszyckiego



Bluegrass

- radosna energia Ameryki

Współczesna muzyka popularna to muzyka amerykańska. Kiedy posłuchamy tego, co nadają obecnie stacje radiowe, czyli muzyki nazywanej pop, to mimo całej elektroniki, która opanowała produkcję, jesteśmy jeszcze w stanie usłyszeć w tej muzyce soul, r&b (czyli rhytm&blues), funk, a czasami i balladę jazzową. Tak więc (co jest dość szokujące!) większość ludzi, kiedy mówi, że „słucha muzyki” ma na myśli muzykę amerykańską. Bo przecież słuchanie muzyki serbskiej, francuskiej, hiszpańskiej, hinduskiej czy chińskiej to już jakieś osobiste dziwactwo.

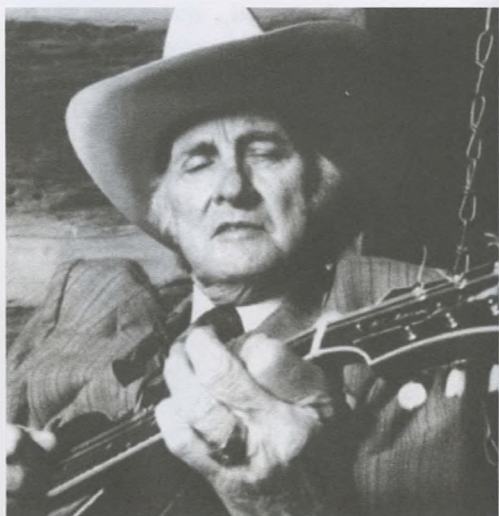
Myślę, że warto zauważyć, iż muzyka pop, która ma obecnie monopol na dostęp do mediów i tym samym uszu słuchaczy na całym świecie jest nie tyle grana, co produkowana w USA, a oparta jest na rozrywkowym nurcie muzyki Afroamerykanów. Czy jest to „brzmienie Ameryki”? Nie sądzę.

Doszło do wielkiego nieporozumienia, jeśli chodzi o wypowiedanie się na temat kultury amerykańskiej, bo zaczęła ona być utożsamiana z popkulturą. Teraz prawie każdy ma jakieś zdanie na temat Ameryki, ale czy faktycznie zapoznał się z amerykańską kulturą? Jakkolwiek kontrowersyjne jest kryterium prawdy, ten tekst będzie o prawdziwie amerykańskiej muzyce – bluegrass.

Bluegrass pod tą konkretną nazwą istnieje stosunkowo niedługo, od lat 50tych XX wieku, kiedy to Bill Monroe, Amerykanin szkockiego pochodzenia zaczął grać ze swoim zespołem The Blue Grass Boys – (nazwa pochodzi od potocznego określenia stanu Kentucky, gdzie urodził się Monroe). Jednakże ta muzyka, wcześniej nazywana po prostu old-time music (czyli stara, czy może starodawna) swoje korzenie ma w balladach osadników ze

wschodnich stanów USA, przez które biegnie pasmo gór Appalachów (Pensylwania, Zachodnia Virginia, Kentucky, Tennessee, Carolina Północna i Południowa, Georgia i Alabama). Gdy pod koniec XVIII wieku powstały Stany Zjednoczone, na długo przed czasem wędrowki na zachód, Appalache były zachodnią granicą USA. W skutek napięć na tle politycznym, ludność celtycka, czyli osadnicy ze Szkocji i Irlandii zostali zepchnięci z nizin w góry. Do dziś widać w kulturze terenu Appalachów odmienność od standardów anglosaskich.

Nazywany „ojcem bluegrassu” Bill Monroe tłumaczy, czym jest ta muzyka następująco: „To szkockie melodie i stare granie na skrzypcach. Blues, jazz i ten samotny, wysoki dźwięk”. Być może pierwszym skojarzeniem wielu z czytelników, kiedy czytają o graniu na



skrzypcach w USA będzie country. Jednakże styl country & western jest obecnie silnie skomercjalizowany, wykorzystuje elektryczne instrumenty i od początku był na usługach „mitu Dzikiego Zachodu”. Nie możemy, w przeciwieństwie do bluegrassu, nazwać country muzyką „tradycyjną” czy „folkową”.

Charakterystyczną cechą zespołów bluegrassowych jest używanie jedynie instrumentów strunowych - w instrumentarium znajdują się: skrzypce, gitara, bandžo, mandolina, gitara dobro i kontrabas. Większość utworów cechuje się melodyką typową dla jigs&reels, czyli tanecznej muzyki z Wysp Brytyjskich. Takie utwory, grane w szybkim tempie, nazywane są „breakdowns”. Dla każdego z muzyków pozostawiona jest przestrzeń do improwizacji – oczywiście im jest ona bardziej widowiskowa i grana w szybszym tempie, tym lepiej. Tutaj widać, jak trafne jest to, co mówił Bill Monroe: w samym fakcie pojawienia się improwizacji oraz w tym, jak jest ona grana widać wpływy jazzu i bluesa.

Teksty natomiast, śpiewane nierzadko przez wszystkich członków zespołu, na trzy lub cztery głosy, czasami mają pochodzenie celtyckie bądź angielskie – gdy wsłuchamy się w ballady, okazuje się, że są one o królach, zamkach i

rycerzach. Najczęściej jednak są to słowa pisane współcześnie, mówiące o miłości, szczęśliwej bądź nie, a także o życiu ludzi i ich pracy – są więc ballady o pociągach, kopalniach węgla, budowie mostów i autostrad, o kierowcach samochodów ciężarowych i tak dalej.

Jak widać, muzyka którą w Europie nazwano by „tradycyjną” czy „folkową” może komentować współczesność i może mieć w sobie wielki potencjał. Bluegrass jest bez przerwy szanowany i słuchany, od czasów pierwszego pokolenia muzyków (Bill Monroe, Earl Scruggs, Lester Flatt, Jim & Jesse McReynolds) przez drugie (Tony Rice, Sam Bush, Jerry Douglas, Bela Fleck) aż do zupełnie nowych działań związanych z nurtem tzw. newgrass, na czele z zespołem Union Station i wokalistką Alison Krauss, znaną w Europie ze współpracy z Robertem Plantem.

Wszystkim bardzo polecam sprawdzić te nazwiska i poznać radosną energię Ameryki, taką jaką jest, a nie jaką producenci kultury chcieliby nam sprzedać. Polecam poznać nieznaną muzykę najbardziej znanego kraju świata i czerpać siłę od ludzi, którzy wyruszyli przez ocean w nieznane.

Mateusz RYCHŁY



Na przechadzce wspomnień

Od 1963 roku nie mieszkam w Śremie, ale wspomnienia stale powracają. I to z coraz większą siłą. Urodziłam się tu w 1938 roku przy ulicy Poznańskiej. Blisko Gimnazjum, gdzie mój ojciec Jan Horowski był profesorem łaciny. Kiedy nastąpiła okupacja niemiecka, 13 grudnia 1939 roku wysiedlono moją rodzinę do Generalnej Guberni. Ale już 23 marca 1945 roku, pierwszym transportem, wróciliśmy do ukochanego miasta. Ojciec podjął nauczanie w Gimnazjum i swoje zajęcia społeczne, a ja zostałam przyjęta do II klasy Żeńskiej Szkoły Podstawowej. Do dziś pamiętam moje nauczycielki – Marię Josse, Władysławę Lorenc i panią Dziakiewicz. W klasie siedziałam w jednej ławce z Bożeną Kozłowską (Satora), a Genia Adamska – obecnie Starczewska – do dziś jest

moją bliską koleżanką. Latem miałam okazję odbyć z Genią przechadzkę wspomnień po miejscach, z którymi pożegnałam się w 1949 roku, ponieważ ojciec został powołany na stanowisko dyrektora jedenastoklasowej szkoły w Krzyżu Wlkp.

Ale nie o mój życiorys chodzi lecz o te śremskie uliczki, gaski jak się mówiło. Najpierw na naszej trasie był cmentarz parafialny, można zapalić świecę na grobach Bożeny, bliskich i znajomych. Potem promenada z pomnikiem prof. Święcickiego, jakby zapraszającego do zrobienia pamiątkowej fotografii. A przede wszystkim Warta. Kiedy patrzę na pustą rzekę brak mi barek, które w przeszłości nią płynęły, a które fotografował mój ojciec. Czasem było ich

Barki na Warcie



aż pięć! Dalej ukwieconym mostem w stronę miasta. Mam jednak w pamięci ten z przeszłości. Był taki dostojny. A tu gdzie plaża w Noc Świętojańską odbywały się wianki. Chłopcy pływali w udekorowanych łodziach, skakali z mostu do wody, a dziewczęta z brzegu puszczały wianki z zapaloną świeczką w środku, w wianku umieszczały miłosne liściki. Chłopcy je wyławiali. Pogoda jakoś zawsze dopisywała, było ciepło i bez deszczu.

Na tej drodze wspomnień ulica Wielka Rzeźnicka, gdzie mieszkała Genia. W tym domu bywałam u niej w szkolnych czasach. I zaraz nasza szkoła. Zewnętrznie się nie zmieniła, w środku pewnie duże zmiany. Robię sobie na jej tle zdjęcie do albumu. Pokazuję Geni jakimi uliczkami biegałam do szkoły. Nie wiem dlaczego wychodziłam z domu na ostatnią chwilę. A przecież po drodze nie było żadnych przeszkód – światła, samochodów. Na tej trasie pamiętam warsztat rymarski pp. Klemenskich. Z ich córką studiowałam w Poznaniu rolnictwo. Byłam tu w Śremie na jej pogrzebie bardzo dawno temu, a dziś na ich rodzinnym grobie.

Kino „Słonko” i zaraz okazały gmach Gimnazjum – zawsze taki sam. Wspominam piekarnię Łącznych naprzeciwko (ach, te

bułeczki!), salę Sałacińskich, budynek dawnego Konwiktu, gdzie bywałam z młodzieżą na przedstawieniach urządzanych przez księdza Mniejżyńskiego. No i pięknie odrestaurowany kościół pofranciszkański. Wyjątkowo o tej porze otwarty, a usłużny pan widząc, że robię zdjęcia – zapala mi wszystkie światła. Opowiadam mu, jak z rodzicami na niedzielnej mszy siedziałam w stalach po lewej stronie.. Na zakończenie mszy ksiądz Mniejżyński u stopni ołtarza śpiewał pięknym głosem „Boże coś Polskę”. Na tę mszę z koszar maszerowali tu żołnierze w bardzo skromnych wówczas mundurach. Fotografuję piękną ambonę – pamiętam ją dobrze z dawnych lat i wygłaszane stamtąd kazania.

Po wyjściu z kościoła oczy moje napotykają dobrze mi znany dom urzędniczy z wejściem nr 22. Robię sobie pamiątkową fotografię. Odwiedziłam wiekową już panią mieszkającą na parterze, która przypomniała sobie moich rodziców, gdy się jej przedstawiłam. Całe otoczenie zabudowane. A przecież dawniej naprzeciw była siatka, a za nią małe ogrodnictwo – kupowaliśmy tam kwiaty i warzywa. Nie ma też ścieżki na skróty do Gimnazjum – wszędzie zabudowa. Idę na podwórko, gdzie z synami prof. Witczaka, Mikołajem i Kazikiem, skakaliśmy przez prowizoryczną poprzeczkę...

Autorka z mamą i rodzeństwem przed bramą parku (1949 r.)



a tu był śmietnik, za nim nasze ogródki, środkiem których biegła ścieżka wprost do wody 1. Mostu. Stąd czerpało się wodę do podlewania. Teraz stoi blok mieszkalny, a po wodzie i po wiatraku w głębi nie ma śladu...

Pamiętam, że gdy sroga zima głęboko ścięła wodę na 1. Moście, przychodzili saperzy i wysadzali lód, by ryby nie posnęły. Wojsko wysadzało też lód na Warcie, gdzie spiętrzały się kry. Wiosną woda zalewała uliczki w okolicach szkoły. Zalewany bywał też Park Miejski. Mam fotografię bramy parkowej, gdzie ojciec w marcu 1949 roku zrobił mi zdjęcie z mamą i rodzeństwem. Zapewne byliśmy na zwykłym spacerze. Szukałam brzozonej alejki z fotografii w moim albumie. Robię więc sobie pamiątkowe zdjęcie na tle brzoź i pora wracać na rynek. Jest jeszcze czas, aby spojrzeć na dawny szpital zakaźny przy Farze, gdzie przeleżałam osiem tygodni chora na tyfus. Odwiedzam cmentarz i bliskie mi groby Paulów, Klemenskich, Władysławy Lorenc, Pauli Wężyk, księdza Kajetańczyka, który był powojennym uczniem mojego taty. Wspominam I komunię św. we farze w 1948 roku i wracam w stronę rynku ulicą Wawrzyniaka. Fotografuję stary, niski domek

z zabitymi blachą oknami. Mam w albumie zdjęcie tego domku zrobione przez ojca w 1947 roku, 65 lat temu! Fascynowała go uroda tych domków. Ileż on pozostawił mnie i potomności śremskiej dokumentów fotograficznych i pisanych o Śremie i okolicach... Ale kończy się przechadzka wspomnień. Jeszcze tylko rzut oka na rynek i wspomnienie jak wyglądał po wojnie, gdzie stała trybuna na defiladzie w Dzień Zwycięstwa 9 maja i budka z lodami na kółkach... Kiedy zniknęły drzewa sprzed Ratusza?

*Kłaniam się nisko mojemu miastu Śrem
Maria HOROWSKA-DROGOMIRECKA
foto. z rodzinnego albumu autorki*

Fragment ulicy ks. Piotra Wawrzyniaka



Listopadowy czas wróżb

Gdy nadchodzą wesołe „andrzejki” zapominamy na chwile o listopadowej zadumie i smutnym nastroju tak mocno spotęgowanym późnojesiennym deszczem i zimnem. A jeszcze kilkanaście dni temu panowała wokół złota jesień z całym wachlarzem kolorów oraz szelestem liści pod nogami. To najbardziej nostalgiczny spośród wszystkich miesięcy wypełniony pamięcią o tych, którzy odeszli. To dla nich pielgrzymujemy co roku na cmentarze, zapalamy znicze, dekorujemy groby i wywołujemy z pamięci klisze ich ziemskiej obecności. Listopad jest tym czasem, który w ludowej wizji świata tak bardzo łączy się *z wyobrażeniem cyklu życia z symboliką starości i śmierci. Kończy się wegetacja roślin – znikają kwiaty z ogrodów, pola noszą ślady jesiennej orki a łąki popadają w jesienno zimowy letarg. Świat jakby wstrzymywał oddech w oczekiwaniu na kres i jednocześnie przejście w nową rzeczywistość. Koniec jesieni to czas mroku i nocy często kojarzonych ze stanem przyrody, która jak co roku niezmiennie przeżywa swoją „śmierć” czy też tylko uśpienie. Ale przecież nigdy nie ma pewności czy ten cud życia i zmartwychwstania kolejny raz się powtórzy z udziałem człowieka. A więc jesień z opadającymi liśćmi, zawiejami, chłodem i duchami zmarłych była od wieków pojmowana jako czas niepewności o los i rozwój wypadków. W tym czasie człowiek także powoli kończył swój wysiłek związany z pracami polowymi i przechodził w stan pewnej równowagi i spoczynku. Zwyczajowo do 11 listopada - dnia św. Marcina należało zakończyć wszelkie prace rolnicze a z łąk i pastwisk znikały na kilka miesięcy zwierzęta rytualnie wprowadzane do obór i stajni. Następował czas długich wieczorów rozświetlanych jedynie blaskiem świec i lampek oliwnych wraz z opowieściami o duchach,*

zjawach, dawnych czasach. Opowieści te były tajemniczym tłem spotkań, w trakcie których kobiety zajęte były darcie pierza, przedzeniem nici z lnu lub wełny na kołowrotkach lub wrzecionach. Obierano z łusek fasolę lub groch, udeptywano w beczkach kapustę do kiszenia a mężczyźni starannie układali stopy porąbanego drewna w komórkach. Spotkaniom w wiejskich izbach często towarzyszyły formy zabaw, których głównym celem było swatanie młodych par. W niektórych regionach Polski nadchodzący czas Adwentu nazywano także czasem swadziebnym i widok poprzebieganych dziwnie chłopaków czyniących zamierzony zamęt *w niejednej wiejskiej izbie nie był czymś wyjątkowym. Ciemność i atmosfera wywołana opowieściami o strzygach i upiorach potęgowała chęć czynienia psot – straszenia ale także wyzwalała chęć spędzenia czasu razem. Ludzi ogarniał zbiorowy niepokój co do losu i niepewnego bytu tym większy gdy świat stawał się coraz mniej przyjazny. Jakby do świata ludzi wkraczały jakieś obce, niewidzialne istoty, które o losie i przyszłości wiedzą już wszystko. Człowiek staje się bezradny i wydawałoby się, że jego wpływ na bieg wypadków jest niezwykle ograniczony. Nawiązuje więc specyficzny dialog z zaświatami, wchodzi w zadziwiającą grę z duchami. Zarówno z tymi przychylnymi człowiekowi duchami przodków ale także i tymi, z natury złośliwymi, które tropią każdy ludzki błąd. Nie należało więc wchodzić im w drogę. Ta powszechnie uznana wiara w obecność zaświatów w tym szczególnym okresie będzie jeszcze wielokrotnie widoczna w czasie poszczególnych obrzędów. Następuje odwrócenie dotychczasowego porządku – człowiek stopniowo oddaje pole swojej aktywności tej nieznanej i niebezpiecznej sile licząc mocno na jej tajemną moc i wyzwolenie ukrytych zasobów*

energii. Nadchodzi czas, w którym człowiek używając magii, symboli i rekwizytów kreuje niezwykłość wszystkiego co może się zdarzyć. Używa sprawdzonej od pokoleń magii i czarów – głównego medium jakim dysponuje. Jednym z najbardziej spektakularnych narzędzi tego czasu są wróżby w formie zabaw. Jeżeli wskazywały na szczęśliwy obrót spraw, były elementami podtrzymania dobrego nastroju w tym nadchodzącym **Czasie Mroku**¹. Powszechnie wierzono, że to głosy z zaświatów reżyserują dramaturgią wróżebnych wieczorów i one decydują, który bucik ustawiany przez całą izbę dotknie zakłętej i szczęśliwej linii progu i one też podpowiadają interpretację cieni skrzepłych kształtów lanego wosku. W polskich tradycjach znane jest wiele okresów świątecznych, w których dominuje przekonanie o skuteczności wróżb. Te podpowiedzi z zaświatów są specyficzną formą zdradzania tajemnic przyszłości. Jest to rodzaj metatekstu, który człowiek nauczył się odczytywać z tajemnych znaków.

Trudno powiedzieć, od kiedy w tradycyjnej kulturze uznano wagę wieczorów poprzedzających dni patronów: św. Katarzyny i św. Andrzeja przypadające na 24 i 29 listopada. Niektórzy znawcy tematu wywodzą źródła tych miłosnych wróżb jeszcze z tradycji starożytnej Grecji. W polskich kronikach opisy wróżebnych zabaw pojawiły się w XVI wieku.² Wróżby tego czasu miały dawniej oraz w formach współczesnych zabaw mają nadal, charakter przewidywania miłosnej przyszłości. To kojarzenie par i przewidywanie szczęśliwego wyboru współmałżonka w tradycyjnych kulturach typu ludowego miało niezwykle istotny walor. To rodzaj społecznego przymusu wywodzącego się z nakazu założenia rodziny oraz zagwarantowania rodzinnej ciągłości. W społeczeństwach rolniczych ten nakaz miał bowiem znaczącą rolę zabezpieczającą i podnoszącą bezpieczeństwo funkcjonowania całej społeczności. Dlatego też tak drastycznie szykanowano stan staropanieński i kawalerski jako niezgodny z ogólnym oczekiwaniem.

Dawniej w wigilię św. Katarzyny wróżyli wszyscy kawalerowie, którzy wykazywali się szczególną ciekawością wobec przyszłej wybranki. Interpretowano sny, które zapamiętano tej

nocy. I tak gdy przysniła się biała kura wróżyło to poślubienie panny, a gdy czarna to los dawał perspektywę małżeństwa z wdową. Sowa w snach gwarantowała żonę mądrą i zaradną ale cichą, a może nawet ponurą. Siwy koń dawał jednoznaczna sugestią dożgonnego kawalerstwa. Jednak najbardziej znaną i piękną w swoim wyrazie chłopięcą wróżbą były gałązki wiśni ścięte z domowego sadu w wigilię św. Katarzyny i starannie włożone do wody. Cierpliwie czekano do kolejnego pełnego tajemnic i czarów wieczoru Wigilii Bożego Narodzenia. Jak wierzono, duchy przybywające w tak niezwykły wieczór decydowały czy wiśniowe gałązki pokryją się kwiatem czy też nie. Gdy zakwitły dawały tym samym radosny znak szybkiej i szczęśliwej żeniaczki. Gorzej gdy gałązki zwiędły i nie dały podstaw do stosownej radości. Wróżono też, podobnie jak robiły to dziewczyny, z kartek z wypisanymi imionami wolnych panien z całej okolicy. To tylko los a może i inne siły decydowały, którą kartkę z imieniem wyciągnie się spod poduszki. Zabawy w wieczór poprzedzający św. Katarzynę już od stu lat uległy zapomnieniu i z tych dawnych wieczorów wróżebnych pozostały do dziś jedynie „Andrzejki”. W przysłowiaach dotyczących dnia św. Katarzyny zachowały się odnośniki wyznaczające nadejście specyficznego czasu. W kościele rzymsko-katolickim rok liturgiczny rozpoczyna się właśnie w tym mrocznym okresie i przypada na okolice 25 listopada, czyli pierwszą niedzielę Adwentu. Ludowe przysłowia w krótkiej sentencji o tym przypominały:

Święta Katarzyna adwent rozpoczyna, a św. Jędrzej jeszcze mędrzej

Święta Katarzyna adwent zawiązuje, a św. Andrzej poprawuje.

Pamiętką szczególnego znaczenia tego dnia są również przysłowia przepowiadające pogodę:

Dzień Katarzyny jaki, cały grudzień taki

Kiedy w świętą Katarzynę mróz, to szykuj wóz.

W tradycjach polskich do najbardziej znanych dni wypełnionych zalotnymi zabawami z wróżeniem, do dzisiaj pozostał wieczór andrzejkowy - 29 listopada. Wesołość i powszechność towarzyskich spotkań jest specyficzną opozycją w stosunku do nakazanego Adwentem wyciszenia i nastroju oczekiwania. A jednak siła tradycji jest ogromna i na ten wieczór wygospodarowała

¹Czas mroku jako termin dla omawianego okresu z uwagi na jego wyrazistość przyjęło za. A. Zadrozżyńska, Świątowania polskie. Przewodnik po tradycji, Warszawa 2002, s. 45

²Opisy te pojawiają się w sztuce teatralnej Marcina Bielskiego pt. „Komedycja Justyna i Konstancji” z 1557 r.

niepisaną dyspensę. Wszyscy bowiem wiedzą, że „Na świętego Andrzeja dziewczom z wróżby nadzieja”. Ten święty urodził się w I wieku w Galilei i stał się patronem nie tylko ksiąząt burgundzkich, ale także stał się głównym patronem grudnia. Wigilię jego dnia uznawano w całej Europie jako szczęśliwy wieczór na najważniejsze podejmowane decyzje. Jest świętym opiekunem rybaków, rzeźników, górników, żeglarzy i panien. Od wieków był najczęściej przywoływany w panińskich marzeniach o idealnym wybranku serca. W tej intencji zwracano się do św. Andrzeja w Niemczech i Szwajcarii, Czechach i Słowacji, na Ukrainie, Białorusi, Litwie oraz Bałkanach. Panińskie marzenia o pięknym i dobrym, silnym i zapobiegliwym, wiernym i do tego jeszcze odpowiednio bogatym mężu, w św. Andrzeju odnajdywały najlepszego orędownika. Wieczór wypełniały niekończące się wróżby niemalże z wszystkiego co nadawało się do korzystnej interpretacji. Dziewczyny liczyły sztachety w płocie, w taki sposób, by uzyskać ich szczęśliwą – parzystą liczbę lub kolejno wypowiadane słowa *kawaler, wdowiec, kawaler, wdowiec* wskazywały stan przyszłego męża. Podobnie liczono szczeble w drabinie i szczapy drewna na opał. Tłumaczono dziewczęce sny i przygotowywano karteczki z imionami kawalerów, palono ognie św. Andrzeja by odstraszyć złe demony i zapewnić właściwy wypełniony wymarzonymi obrazami sen. We wschodnich regionach Polski panny na wydaniu wieczorem siały len i konopie starannie uważając by nie były zauważone szczególnie gdy wypowiadały stosowne zaklęcia. Rytuły te nosiły ślady dawnych praktyk magicznych gwarantujących płodność i urodzaj. Puszczano w miskach miniaturowe łódeczki z orzechowych łupinek starannie obserwując czy będą się do siebie zbliżać, czy też wręcz odwrotnie. Wrózano przy pomocy bucików zdjętych z koniecznie z lewej nogi tej „od serca”. Jeżeli rzucony za siebie bucik ustawił się czubkiem w kierunku drzwi, jego właścicielka zyskiwała pewność szybkiego zamążpójścia. Także ustawiane przez całą długość izby lub korytarza wskazywały szczęście tej, której bucik jako pierwszy dotknął linii progu. Dziewczyny wypatrywały też kierunku, z którego prawdopodobnie mógł nadejść pan młody. Wsłuchiwały się więc we

wszelkie dalekie i bliskie odgłosy zwierząt - zawsze znajdując właściwą ich interpretację. Zwierzęta domowe także odgrywały w tych zabawach swoją rolę. Kuszono odpowiednio przygotowanymi smakołykami kury, psy lub koty wpuszczone do izby zjadały je w odpowiedniej kolejności wskazując tym samym ranking przyszłych związków małżeńskich.

Najbardziej jednak znaną i stosowaną do dziś zabawą było tzw. lanie wosku. Już sam wosk jako dar tajemniczych pszczoł miał zawsze bardzo pozytywne znaczenie magiczne, a lany przez ucho klucza do miski z wodą zastęgał w nieprzewidywalnych formach. Właśnie te uformowane kształty stawały się obiektem interpretacji i poszukiwania tajemniczych znaczeń. Dla większego efektu niesamowitości podświetlano je w ten sposób by rzucały na ścianach wyraziste cienie. I tu fantazjom w poszukiwaniu znaków nie było końca. Z wizualizacji cieni odnajdywano informacje o przyszłym mężu, jego zawodzie i cechach charakteru. Zawsze dopatrywano się sylwetek jeźdźca na koniu, anioła oraz innych dających powodzenie jak: drzewo, harfa, strzelba, książka, dzban, owoce, półksiężyc, drzwi lub bramy. Wymarzonym był wizerunek zamku dającym wskazówkę co do zamożności przyszłego narzeczonego. Zamiast wosku stosowano także w identyczny sposób rozpuszczony ołów, który także traktowano jako materiał magiczny.

Czas listopadowych wróżb traktowano dawniej bardzo poważnie mimo ich zabawowego charakteru. Wskazywały bowiem na mniej lub bardziej szczęśliwy bieg czasu, dodawały otuchy w okresie niepewności losu i załamania sił natury. Były olbrzymią porcją optymizmu daną za pośrednictwem sił decydujących już o wszelkim ludzkim powodzeniu. Z biegiem lat te magiczne znaczenia straciły swoją moc, o wielu rytualnych zachowaniach zapomniano a sam wieczór 29 listopada zmienił się stopniowo w powszechnie znane dziś andrzejkowe towarzyskie spotkania. O *katarzynkach* prawie już nikt nie pamięta. W andrzejkowe wieczory młodzież spotyka się w pubach i klubach, świętując popularne imieniny i ulegając także pasji wróżenia jednak już bez tak wielkiego, jak niegdyś emocjonalnego zaangażowania.

Przybyszewski

Meteory Młodej Polski

CZ.

W starożytności i średniowieczu jednostki twórcze pełne rozpędu i niepowседневnej siły wywoływały masowe ruchy i psychozy, kształtujące według swej wizji oblicze mas.

W epoce nowoczesnej twórca geniusz, znajduje twarde opór w zorganizowanej społecznej gromadzie. Zwraca się więc w dążeniu swym ku wnętrzu, ku własnej mocno zindywidualizowanej jaźni i w niej zagłębia się całą mocą geniuszu.

„Jaźń artysty jest wtedy mocno nienormalna, zdegenerowana. Degeneracja ta – podaję za norweskim rzeźbiarzem Vigelandem – to nie jest degeneracja w znaczeniu najprostszym, jest to tylko regularnie powracający i konieczny fenomen ewolucyjny równie konieczny jak to, co nazywamy normalnym. Norma to głupota, degeneracja zaś to geniusz¹³.”

Świadomość górującej wyższości nad tłumem, zrozumienie genezy mitu i fikcji rodzi pęd do wyzwolenia się; ideologiczną tęsknotę do tworzenia dynamicznego. Wobec niemożności spełnienia tego porywu pojawia się ból, niedosyt, głód wewnętrzny oszałamiany upojeniem, w którym rozkosz graniczy z cierpieniem¹⁴.

Wrodzona nadwrażliwość – powtarzam za Bogdanem Hulewiczem¹⁵ – twórców, pozwala im odczuwać tak rozkosz jak cierpienie w wyolbrzymionych rozmiarach, pchając je ku zgubie.

Zguba ta dla gromady stanowi nowy stopień wzwyż, a natura poświęcając zatarciu istnienie zyskuje nowe doskonalsze kształty gatunkowe. Dowodem tego jest „Chopin i Nietzsche” przyjęte jako dzieło genialne.

Sam Przybyszewski pisze: Chopin noszący w jaźni swojej niezharmonizowane pierwiastki słowiańskie, tęsknotę bezbrzeżnych polskich równin, pobudliwość i zmienność nastrojów. (...) Tam gdzie kończy się emocja przepojona muzyką zaczyna się słowo. Chopina uzupełnia Nietzsche.

Niezaługo potem, kiedy Przybyszewski pisał te słowa, był już znany w kręgach artystycznych i twórczych cyganerii berlińskiej i niemieckiej w ogóle. Zadziałał tam jak ferment; odczytany w literaturze światowej, posiadał rozległą wiedzę ogólną i znakomitą pamięć, a przede wszystkim wielki talent. Będąc w jego towarzystwie korzystało się dużo. Tak też było ze mną – pisał Bogdan Hulewicz¹⁵ – zasięgałem jego rad w moich pracach przekładowych z obcych języków na polski i z polskiego na niemiecki. Stach był znakomitym stylistą w języku niemieckim. Niemcy byli zachwyceni błyskotliwością jego pisarstwa, niezwykłymi frapującymi metaforami. Ryszard Dehmel, wybitny poeta i krytyk literacki, napisał iż o czasie Goethego i Nietzschego, nikt tak wspaniale nie władał niemieckim, jak Polak Przybyszewski¹⁶.

¹³ Cytat zapisany w prywatnych moich notatkach po lekturze czytanej kiedyś studium o norweskim rzeźbiarzu Vigelandzie, więc podaję bez strony i źródła.

¹⁴ Listy Przybyszewskiego s. 51.

¹⁵ Bogdan Hulewicz: Wielkie wczoraj w małym kręgu. PAX 1973 s. 7.

¹⁶ List Ryszarda Dehmela do Przybyszewskiego z dnia 20 kwietnia 1895 roku [w] Heliński: Przybyszewski s. 51 i 73.

Był sławny. Tą sławą, tym kapitałem wówczas nabytym, żył całe życie. A życie prywatne tego geniusza, szatana, kobiety, miłość?

Nie był specjalnie przystojny, raczej przeciętny. Jego obsesją był demon płci, chuć – wtedy jeszcze nie mówiło się seks¹⁷.

Mówiono, że Przybyszewski żył po to by tworzyć tragedie. Tragedia wyrastała tam, czego tylko się dotykał.

Pierwsza kobieta, Żydówka, którą znał jeszcze z Wagrówca, w której zamożnym domu bywał jako korepetytor gry na fortepianie, to Marta Foerder. Uległa, zdecydowana na dzielenie niedoli i biedy z rozsatanizowanym artystą, urodziła mu dwójkę dzieci Bolesia i Janinę i będąc z trzecim dzieckiem w ciąży, na wieść o romansie męża z poznaną norweską pięknoscią Dagny, popełniła samobójstwo. Dzieci rozebrali ludzie: Bolesia wzięła rodzina, Janinę umieszczono w sierocińcu¹⁸.

Dagny – piękna rudowłosa Norweżka, którą poznał dzięki Strindbergowi, fascynowała Przybyszewskiego do szaleństwa. Kochał ją pewnie na swój genialny sposób, była jego muzą. Związał się z nią ślubem, miał z nią dwójkę dzieci, uwielbiał, chwalał, nazywał ją: mój przyjaciel, moja siostra, moja Ducha, moja żona¹⁹.

Porzucił jednak niebawem Dagny dla innej nowej znajomej, żony przyjaciela poety Kasprowicza – Jadwigi Kasprowiczowej.

Po latach, już po śmierci Dagny, wspomina klamiąc w autobiografii „ożenek mój z Dagny był czystym przypadkiem, jaki się zdarza niejednemu młodemu artyście, któremu niebacznie noga się powinie.” I klepał hymny pochwalne poczęte dla Dagny kończąc je i przeznaczając dla następnej. Klepał – jak mówił Boy – do końca, z rozpędu „pacierz, który był

niegdyś żarem miłości i poezji”²⁰.

Wróćmy jeszcze o parę lat wstecz.

Do Polski przyjechał w roku 1898. Przyjechał najpierw sam, jakby na zwiady, niepewny jak go w kraju przyjmą, jak ustosunkuje się do niego Kraków. Zachwycony przyjęciem jakiego doznał, ściągnął po paru tygodniach Dagny – aktualną wówczas, kochaną bardzo żonę i dwójkę dzieci Zenona i Iwi.

Przybyszewscy zamieszkali w Krakowie przy ulicy Siemiradzkiego, na rogu Karmelickiej, w parterowym domku z ogródkiem. Stach przyjął z rąk Sewera redakcję czasopisma „Życie” – które odtąd stało się szansem nowej sztuki.

Dom ich – pisze Boy – od wczesnego popołudnia do późnej nocy przepełniony gośćmi, zdawał się jakąś inną planetą, gdzie nie istnieje nic prócz sztuki. Ściany pokryły się sprowadzonymi obrazami Muncha, Goyi, niebawem Wyspiański i Weiss i inni pospieszyli je przybrać swoimi dziełami. Na stołach pojawiły się najpiękniejsze, nie znane u nas artystyczne wydawnictwa. Stach królował, grający godzinami całymi Chopina,

Rys. E. Munch – portret
Stanisława Przybyszewskiego [w:]
Boy o Krakowie, oprac. H. Markiewicz,
Kraków 1974, s. 314



¹⁷ Kuncewiczowa Maria Fantazje alla Pollaca, Warszawa 1979 s. 25.

¹⁸ Boy-Zeleński: Ludzie żywi s. 47-48.

¹⁹ tamże s. 49.

²⁰ tamże s. 51-52.

przetwarzający go zupełnie indywidualnie. A kiedy on się zmęczył wówczas do fortepianu siadała Dagny i grała jakieś smutne melodie swego kraju, po których raz trzyletni Zenon Przybyszewski podszedł do matki i rzekł po norwesku: mamojakimi ty łzami płakałaś?

To znów obraz się zmieniał. Stach wesoły ową swoją niebezpieczną jakże bliską rozpaczy wesołością, siadał na kanapie i kazał sobie godzinami grać kujawiaki, krakowiaki i owe „Słońce i pogoda”.

Z niczym nie da się porównać tamtych dni pełnych na przemian rozpaczliwej i radosnej egzaltacji, owych nocy, które z tego mieszkania czyniły jakąś zaczarowaną wyspę w zdumionym i cichym Krakowie.

Duży wpływ – kto wie czy nie jedyny – na ówczesnego Przybyszewskiego miała właśnie Dagny. Fizycznie była urocza. Z królewską dystynkcją donaszała stare suknie przysyłane ze Sztokholmu po bogatej siostrze, bo Przybyszewski nie miał zrozumienia dla potrzeb kobiecych i wszelki pieniądź nie przepity wydawał się zmarnowany. Łatwiej było kupić flaszkę szampana niż parę pończoch dla żony. Dagny mimo to miała dla męża uwielbienie i tkliwość niby starszej siostry (była od niego o rok starsza), interesowała się w jego twórczości wszystkim. Wpływ Dagny na twórczość Stacha – wbrew jego późniejszemu twierdzeniu – był ogromny. Ona przyczyniła się do tego fantastycznego sukcesu po przybyciu do Polski, bo Przybyszewski egzystował już przecież tylko na jej tle. To Dagny była żywą jego legendą, wdziękiem, poezją pijackich nocy, które bez niej jakże łatwo „osunęły by się na poziom zbyt niski”²¹. To była dusza domu, na który zwrócone były oczy całej Polski.

O ile w Berlinie na obcym gruncie, w przymusie pracy i zarobku alkoholizm Przybyszewskiego trzymał się w pewnej mierze, o tyle w Polsce, wśród rozlewności ziomeków, w tym fantastycznym i improwizowanym życiu, przechodził wszelką miarę. Przybyszewski pił, był

zmęczony, gaśł. Sprawiał to alkohol, a może natura jego talentu, który rozbłysnął tak wcześnie i znużył się tak szybko.

Przybycie jego do Polski – to jakby ciążenie do łatwiejszego – nie tak wytężonego artystycznie życia. Nagromadzony kapitał miał mu wystarczyć na parę dziesiątków lat. Nic do niego nie przydał, nie dołożył. Nakarmiony w Polsce do syta bezkrytycznym uwielbieniem, staje się powoli tylko własnym cieniem, karykaturą dawnego samego siebie.

A twórczość jego? Rozbłysła w pierwszych kilku latach i wówczas dał z siebie wszystko „teraz tliła się smętnie niczym gasnący ogarek”²².

Przybyszewski jest doskonałym przykładem zjawiska wstrzymania rozwoju. Będąc na jego odczucie słyszało się te same zwroty, te same słowa co przed laty. Miało się wrażenie, że przez ten czas najpiękniejszych lat męskich nie przybyło do głowy artysty ani jednej myśli. Stach zastylł niby urzeczony przez jakiegoś młodopolskiego chochoła.

Urządzano mu kłamliwe jubileusze, przy czym teatry łamały sobie głowę, którą z jego sztuk można by wznowić, nie wywołując śmiechu, zamiast grozy. Darzono go półlitosnym oklaskiem. Znano go coraz mniej i coraz gorzej.

Niszczył go alkohol, kłamstwa w których się gubił, a jego beczynną smutną egzystencję przedłużały tylko mit i legenda dawnej gwiazdy. Mało kto w Polsce pamiętał go w rozkwicie, a wszyscy oglądali go w długiej dobie śmierci i śmiechu.

Wertując listy Dagny zauważamy, że dziwnie złowróżbego charakteru nabierają jej słowa pisane niegdyś do Stacha „bo się pod taką gwiazdą urodziłam, że ja jedyna mogę położyć kres twej królewskiej potędze”²³.

Nina SZMYT

²² tamże s. 54.

²³ Ewa Kossak: Dagny Przybyszewska PIW 1973.

Witold Pilecki

- ochotnik do Auschwitz

Na jednej z konferencji w Muzeum Auschwitz-Birkenau spotkałem się z takim stwierdzeniem, że gdyby Amerykanie mieli swojego Pileckiego byłby ikoną popkultury. Komiksy, kreskówki, klocki lego, filmy biograficzne prawdziwe i nieprawdziwe. Pewnie aż do przesady.

Postać Witolda Pileckiego była zupełnie nieobecna w świadomości Polaków do 1989 r. W ostatnich kilkunastu latach, za sprawą publikacji i książek powrócił. Kto chce o nim wiedzieć to wie. Ale ponieważ coraz mniej czytamy a telewizje nie zajmują się takimi „małymi” sprawami, to wciąż wielu z nas nie ma pojęcia o Pileckim.

Decyzją Sejmu RP to patron 2012 r. – obok księdza Skargi i Korczaka.

Kilka lat temu w gmachu Parlamentu Europejskiego w Brukseli otwarto wystawę poświęconą siedmiu szczególnym bohaterom II wojny światowej. Pilecki był jednym z nich.

W wydanej w 1978 roku książce „Six Faces of Courage” brytyjski historyk M. Foot uznał rotmistrza za jednego z sześciu najodważniejszych ludzi walczących w podziemnych armiach na terenie okupowanej przez Trzecią Rzeszę Europy. Tak o nim pisał:

„Szóstka osób, o których powstała ta książka, miała, oprócz swojej niesamowitej działalności, coś wspólnego. Niedostępną przeciętnym ludziom dodatkową twardość. W przypadku Pileckiego tak brawurową, że na pierwszy rzut oka wydawała się absurdalna. Tak, jakby ten człowiek umyślnie robił wszystko, żeby zginąć. (...) Pilecki był osobą o wielkiej sile charakteru, nawet jak na naród, w którym aż roiło się od ludzi o silnym charakterze”.

Kilka tygodni temu archeolodzy i pracownicy

IPN trafili podczas prac wykopaliskowych na tzw. łączce na cmentarzu powązkowskim na ludzkie szczątki. Prawdopodobnie ofiary stalinowskich mordów. Jest duże prawdopodobieństwo, że szczątki Pileckiego tam się znajdują. Jego żona zmarła, nie mogąc doczekać się jakiegokolwiek informacji o miejscu pochówku męża. Zmowa milczenia dawnych UB-eków jest przerażająca. Andrzej i Zosia, dorosłe dziś dzieci Pileckiego, mają cichą nadzieję, że położą jeszcze kwiaty na grobie Ojca.

Numer 4859

Jak wielu przedwojennych oficerów, którzy przebywali podczas okupacji w Warszawie, Pilecki zaangażował się w działalność konspiracyjną. Wiosną 1940 przekonał dowódcę ZWZ gen. Stefana Grota-Roweckiego do wyrażenia zgody na przedostanie się do Auschwitz. Obóz ten najgorsze miał dopiero przed sobą, ale już zaczynały docierać informacje, które budziły niepokój. Mało kto stamtąd wracał, a ci nieliczni którym to się udało milczeli.

19 września 1940 podczas łapanek wszedł w kocioł w bloku przy al. Wojska Polskiego 40, by dostać się do obozu w Oświęcimiu i zdobyć informacje o panujących w nim warunkach. Nauczył się życiorysu nieujawnionego Niemcom polskiego żołnierza, by jako „Tomasz Serafiński” stworzyć dla Gestapo powód do zesłania do obozu koncentracyjnego.

Do obozu trafił w nocy z 21 na 22 września 1940 wraz z tzw. drugim transportem warszawskim. Miał szczęście, mógł bowiem trafić do grupy robotników wywożonych do Niemiec lub też do zupełnie innego obozu.

Jako więzień nr 4859 był głównym organizatorem konspiracji w obozie. W zorganizowane

przez niego siatce nazwanej przez Pileckiego – ZOW (Związek Organizacji Wojskowej) byli między innymi: znany adwokat i działacz PPS Stanisław Dubois, rzeźbiarz Xawery Duniowski i olimpijczyk, narciarz Bronisław Czech.

Celem działań Pileckiego i jego grupy było zbieranie informacji dotyczących obozu, przekazywanie ich na zewnątrz, szmuglowanie żywności i leków do obozu. Pileckiemu marzyło się też coś więcej. Planował przygotowanie oddziałów partyzanckich, które wraz ze zrzutami desantowymi byłyby w stanie opanować obóz. Ani krakowskie podziemie, ani centrala w Warszawie tych ostatnich planów nie potraktowała serio.

Opracowywał pierwsze sprawozdania o ludobójstwie w Auschwitz, przesyłane przez pralnicze komando do dowództwa w Warszawie i przez komórkę „Anna” w Szwecji dalej na Zachód. Meldunki o sytuacji w obozie przekazywane były także do głównej kwatery AK za pomocą uciekinierów z obozu. Jedną z takich ucieczek była ta najślawniejsza. 20 czerwca 1942 Eugeniusz Bendera, Kazimierz Piechowski oraz Stanisław Jaster uciekli uzbrojeni po zęby w przebraniu SS-manów, kradnąc samochód marki Steyer 220 należący do komendanta obozu Rudolfa Hoessa. Za swoją działalność konspiracyjną Pilecki jeszcze jako więzień obozu, w listopadzie 1941 został awansowany przez gen. Stefana Grot-Roweckiego do stopnia porucznika.

Rodzina Pilekich



Dwa i pół roku trwała dobrowolna działalność Pileckiego w Auschwitz. W nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 Pilecki wraz z dwoma współwięźniami zdołał uciec z obozu. Wzdłuż toru kolejowego doszli do Soły, a następnie do Wisły, przez którą przepłynęli znalezionej łódki. U księdza w Alwerni dostali posiłek oraz przewodnika. Przez Tyniec, okolice Wieliczki i Puszczę Niepołomicką przedostali się do Bochni i tam ukrywali się u państwa Oborów, by trafić do Krakowa.

Po ucieczce z Auschwitz, Pilecki zawarł całość swojej pracy wywiadowczej w tzw. Raportach Pileckiego. W sumie napisał trzy raporty. Ostatni, najobszerniejszy, powstał po wojnie podczas pobytu Pileckiego w armii Andersa. Część raportu, zwłaszcza nazwiska była zaszyfrowana, a ponieważ klucz Pileckiego zaginął nie wszystko udało się odczytać.

Pełny tekst raportów Pileckiego po raz pierwszy został opublikowany w Polsce dopiero w 2000 roku – 55 lat po wojnie. Wcześniej pozostawały one kompletnie nieznane nawet polskiemu środowisku naukowemu.

Po Auschwitz

Po krótkim pobycie w Krakowie, wrócił do Warszawy. W podziemiu działał do wybuchu powstania warszawskiego. W powstaniu dowodził oddziałem Zgrupowania „Chrobry II”. Po powstaniu trafił do oflagu, w którym przesiedział do 29 kwietnia 1945 roku, gdy jego

W. Pilecki z córką



obóz wyzwolili Amerykanie. Z obozu udał się do Włoch, gdzie wstąpił do II Korpusu.

Generał Anders szybko zorientował się, że to nietuzinkowy oficer. Wcielił Pileckiego do II Oddziału i nakłonił do powrotu do Polski. Jeszcze pod koniec 1945 roku Pilecki znowu znalazł się na terytorium Polski, tym razem okupowanej przez Związek Sowiecki. Jego zadaniem było utworzenie siatki wywiadowczej, która m.in. miała zebrać materiały na temat zbrodni popełnianych w Polsce przez Sowietów i ich kolaborantów. Działał do 8 maja 1947 roku. Tego dnia został aresztowany przez bezpiekę.

Bestialsko katowany w więzieniu mokotowskim, przesłuchiwał go m.in. Józef Różański, 15 marca 1948 roku został „w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej” skazany na śmierć. 25 maja o godzinie 21.30 w więzieniu mokotowskim wykonano wyrok. Zabito go pojedynczym strzałem w tył głowy. Prezydent Bolesław Bierut nie zgodził się na ulaskawienie.

I ten wyrok właśnie oraz śledztwo, podczas którego złamano wszelkie procedury, nawet PRL-owskie spowodował, że cenzura nie przepuszczała żadnych informacji na temat Pileckiego. Jego powrót do świadomości społecznej trwa chyba jednak zbyt długo.

Trochę żartem napisałem co Amerykanie zrobiliby z Pileckim. Ale przecież to nie wszystko. Urodził się w 1901 r. w rodzinie

polskich zesłańców w Karelii. Była to forma represji za udział w powstaniu styczniowym. Do wybuchu II wojny zdążył być: harcerzem i żołnierzem. Na przełomie 1918- 1919 roku walczył z Niemcami i bolszewikami zdobywając i tracąc Wilno. W słynnym oddziale braci Dąmbrowskich atakował bolszewików. Walczył w wojnie polsko-sowieckiej w 1920. Brał udział w tzw. buncie gen Żeligowskiego zakończonym przyłączeniem Wilna do Polski. W 1939 roku jego szwadron został rozbity przez Niemców w okolicach Tomaszowa Mazowieckiego. Nie poszedł do niewoli, ale zebrał pozostałych ułanów i kontynuował walkę. Jego oddział zniszczył siedem niemieckich czołgów oraz dwa samoloty podczas szarży na lotnisko polowe. Pilecki, już jako partyzant, bił się do 17 października 1939 roku.

Pół Hollywoodu miałoby co robić z jego biografią. Schindler miał szczęście. Trafił na Spielberga. A my w końcu 2012 roku nie wiemy nawet gdzie jest pochowany. O filmach nie wspomnę. Jest kilka książek (najobszerniejszą biografię napisał włoski historyk) jest też komiks wydany właśnie w nowej serii wydawniczej przez Muzeum w Oświęcimiu. Nie użyłem w tym tekście ani razu słowa bohater. Przy jego biografii aż nie wypada. To truizm.

Krzysztof GRZESIAK
foto. archiwum

W. Pilecki w mundurze oficera WP

W. Pilecki w Auschwitz



Od palety do patelni

Gawęda o kolorach i smakach

Zaiste, wyjątkowa to rzadkość, gotujący artysta. Chociaż zaliczam się do tych nielicznych, mogę wymienić niewielu podobnych. Nie czas zaglądać teraz do Czerwonej Księgi. Wyboru dokonałem samodzielnie. Powodu dostarczyła oddająca się pracy zawodowej żona oraz osiągnięty dawno status rentiera. Zapoznałem się z sentencją: „lubisz dobrze zjeść, gotuj sobie sam!”. Decyzja zapadła. GOTUJĘ!!! Dzięki pozyskanemu doświadczeniu doszedłem do wniosku, że gotowanie, gama barw występujących w produktach, to spora analogia do kompozycji w SZTUCE. Uważam siebie za rzetelnego rzemieślnika, więc mam do swoich dokonań dystans, starając się zanadto nie udziwniać! Ani w grafice, a tym bardziej w gotowaniu...

Powszechnie wiadomo: głód to najlepszy kucharz. Stąd wszelka inspiracja! Adeptci wiedzą, że kucharzenie i twórczość artystyczna zasadzają się na trudnym do przewidzenia efekcie, a przede wszystkim ogromnej CIERPLIWOŚCI. Na ogół wiemy, co mamy do wykonania, znamy składniki, narzędzia, kolejność czynności. Decydujące znaczenie ma CZAS i operatywność. Co potem, nie wiadomo, jak nasze dzieło zostanie przyjęte. Gdzie wyląduje? Oby nie było innych sensacji. Wielkie to zadowolenie, gdy kręcimy się wśród garnków nie tylko dla siebie. Możemy ujawnić preferencje, zaskoczyć czymś nietuzinkowym. Bywa, że często prostym a niezwykle smakowitym. Wędrując po recepturach, znaczniejszych KUCHNI ŚWIATA, zakosztowałem tego i owego. Jednak z głęboką szczerością muszę wyznać, ochoczo wróciłem do MAMUSINEJ JADALNI! Swojskich smaków

wyniesionych z lat dziecięcych. Przy nich chyba już pozostanę: kultowy schabowy, klopsiki, pulpety. Aromatyczne rolady. Kluchy na parze, pierogi, kopytka, wielorakie zupy... Palce i talerze lizać!? Niech nam żyje - po trzykroć - i rozkwita, nasza REGIONALNA KUCHNIA WIELKOPOLSKA!!!

- Jak się nie pochwalisz, nikt się nie dowie! – zwykł mawiać Lech Konopiński. Otóż, aktualnie potrafię zadysponować całomiesięczne wyżywienie. Potem można zaczynać od nowa. Gotującym nowicjuszom pragnę uzmysłowić, że kto gotuje, ten od samego próbowania może przytyć! Sprawdziło się... na samym piszącym.

W czternastu latach działalności dla Śremskiego Bractwa Kurkowego wielokrotnie się podróżowało i biesiadowało – Z OBOWIĄZKU! W 1991 roku, chyba ślepym trafem, zostałem II Rycerzem Odrodzonego Bractwa. Wiadomo, tego typu wydarzenia wieńczy wyjątkowe zbiorowe żywienie. Zwyczajowo na „drugi dzień” pożądana jest pożywna i o(t)rzeźwiająca potrawa. Żeby przeżyć! Coś na rodzaj kwaśnicy czy popularnego żurku. Buszując po kuchni od pewnego czasu wpadłem na genialny pomysł, który od wielu lat poddawany jest degustacjom w rodzinie. I testom wśród przyjaciół – z dużym powodzeniem! Nawet nazwa przysmaku – tej wysoce regenerującej zupy – nosi miano nawiązujące do mojej turniejowej lokaty. Kiedy ją uczciwie przygotujecie, skosztujecie, możemy wymienić opinie?! Po raz pierwszy ujawniam sekretną recepturę. Zapewniam, nie mam ochoty ścigać za prawa autorskie. Naśladownictwo ze wszech miar wskazane.

„POLEWKA RYCERSKA” – sposób przygotowania. Zazwyczaj na większe święta lub uroczystości rodzinne grzeje się spore ilości różnego rodzaju kiełbas. Zalecane jest ponowne odgrzewanie w tej samej wodzie. Nawet kilka razy. Powstaje z tego wywar o wyglądzie rosółu. To jest właśnie baza dla naszej Rycerskiej Polewki. Wywar należy doprowadzić do wrzenia. Wcześniej przygotowujemy w kubeczku: 4 łyżeczki mąki, dodajemy 200 ml maślanki (może być kwaśna śmietana), do tego wbijamy całe jajko. Należy te składniki dokładnie rozbełtać. Następnie wlać do gotującego wywaru. Uprzednio na patelni szklimy pokrojoną cebulę i boczek lub skrawki wędlin. Łączymy wszystko z zupą. Przyprawiamy solą, pieprzem i sprasowanym czosnkiem. Posypujemy świeżym majerankiem

(wzgl. suszem), natką pietruszki, bądź koperkiem. Podajemy z ugotowanymi ziemniakami, które kroimy w talarki. Dobrze widziany wiejski chleb – grubo krojony. Można siadać i pałaszować. SMACZNEGO!

Eugeniusz Antoni FERSTER

Postscriptum!

Ufam, że ten na gorąco wysmażony felieton kulinarny przypadnie do smaku; naszym wyposzczonym czytelnikom? Dla redakcji jest ważne: żeby „specjał” nie był przepieprzony. Nadmiernie pikantny. Może być słodko-kwaśny. Ale co najważniejsze, aby nikomu nie przysolić! Wówczas, nie będzie zalegał – na wątrobie. Ostatecznie, dopuszczalna jest... tylko czkawka!

foto. archiwum redakcji

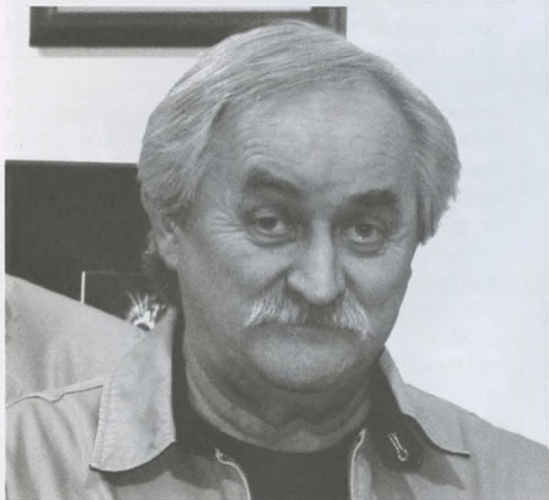


foto. archiwum autora



Potańcówki, bale i sentymenty

Boża menażeria

Na to naprawdę się czekało, snuło plany i przygotowywało. W połowie roku szkolnego odbywały się potańcówki. Należało wtedy przede wszystkim olśnić „kreacją”. Możliwości były jednak ograniczone. Sprowadzały się do wyboru fasonu obowiązkowo białej bluzki i mniejszej lub większej zamaszystości spódnicy w kolorze czarnym lub granatowym. Ta zamaszystość miała się pięknie prezentować w tańcu. Zwłaszcza, że za moich czasów tańczyło się głównie walce i tanga. Przynajmniej przy takich oficjalnych okazjach.

Prywatnie byliśmy już podmywani przez muzykę zwaną dziś nie wiadomo dlaczego młodzieżową. A przecież to dzisiejsi dziadkowie przeżywali narodziny Presleya, Beatlesów, Rolling Stonsów i całej plejady artystów tworzących muzykę rockową. To zainteresowanie rodziło się w naszej duszy i sercu, odpowiadało rytmowi młodości i gwałtowności apetytu na życie. Bezużyteczne było więc stawianie tam i potępianie „całego tego barbarzyństwa”. Choć miało opóźnić dobijanie się o prawo równości dla tej muzyki praktycznie aż do początku lat osiemdziesiątych XX wieku. A i tak wykonawcy, nazwijmy to piosenek tradycyjnych byli zaskoczeni.

Wspominam o tym upływie czasu, aby pojąć zaskoczenie naszego księdza prefekta Władysława Mniejżyńskiego w końcu lat pięćdziesiątych, gdy nagle nasza orkiestra szkolna zagrała kawałek rockandrollowy. Okazało się, że wszyscy potrafią to tańczyć, nie wyłączając skomplikowanych figur na granicy akrobacji. Wystraszony tym widokiem katecheta chwycił za swój wielki drewniany różaniec, ale

chyba to jakoś przeboleł dając nam do zrozumienia na najbliższej lekcji, że nie pochwała. *Telega, czemu parzyłeś na podłogę, jakbyś tam talary liczył. W tańcu trzeba patrzeć partnerce w oczy* – przypomniał.

Moja starsza siostra Danuta należała do żeńskiego zespołu wokalnego o nazwie „Dziesiątka”. Jego repertuar stanowiły głównie piękne utwory ludowe. I z takim repertuarem były wożone do PGR-ów w asyście kilku uzdolnionych wokalnie licealistów. Jadą sobie kiedyś ciężarówką, a jakże takie luksusy, aby uatrakcyjnić życie rolnika repertuarem Mazowsza, gdy nagle trio Sołtysiak, Salmonowicz, Marciniak „odstawiło” aktualny kawałek z radia Luxemburg. Wiadomo, że za młodu szybko coś wpada do ucha i szybko się zapamiętuje, ale żeby to wiernie odtworzyć trzeba być stałym słuchaczem. I tak było. Wielu pamięta jak ta skromna w gruncie rzeczy stacja wpłynęła na polską, i nie tylko, młodzież. Stąd wystarczył tylko impuls, aby szkolna orkiestra z prawidłowym repertuarem, nagle zmieniała rytm grając to czego się słuchało w radiu, czy z płyt. Im młodszy rocznik szkolnych muzyków, tym muzyka szybsza i bardziej przypadająca do gustu. A ktoś to się nie przewijał przez tą estradę... Fluktuacja była naturalna – jedni odchodzili w świat, inni zajmowali ich miejsce. A przecież nie było w Śremie szkoły muzycznej. Tak więc te całe zastępy uzdolnionej muzycznie młodzieży kształciło ognisko muzyczne pod kierownictwem Mariana Zielińskiego. I miło popatrzeć, że niejeden z tych uczniów do dziś pozostaje wiernie przy muzyce, jak choćby i Tadeusz Polowczyk.

Ale wracając do naszych balów to zawsze najważniejszy był bal maturalny. Sukienki szły się według gustu i fantazji lub przelotnych kontaktów z amerykańskimi żurnalami. Najwdzięczniejszym materiałem była organdyna, nie flaczała i tworzyła bajeczne spódnice. Trzeba było jednak uważać, bo jak się już coś ciekawego pokazało w sklepach, to potem można było ten sam deseń spotkać w różnych wcieleniach. A zarówno wtedy jak i dziś spotkanie takiej siostry syjamskiej nie było przyjemne. Na długo przed balem polowało się więc na oryginalne tkaniny, zamawiało koleжки u zawsze obłożonych krawcowych i zdobywało buty, pierwsze buty na obcasie. O panach (tak już po maturze należało się wyrażać o kolegach) nie wspominam, bo ich elegancja była z góry zaprogramowana przez obyczaj. Doszłusowywali do swoich ojców, którzy wraz z paniami obecni byli na tej pożegnalnej imprezie. Można było legalnie wypić wino i bawić się do białego rana, który witał tradycyjny *Ostatni walc*.

Pośród tej radości nie spostrzegliśmy, że walc to w tym gronie naprawdę ostatni. Może i niejedna sympatia zostanie wkrótce zapomniana. Nie będzie już spacerów wzdłuż ulicy Mickiewicza, po jednej stronie koledzy, po drugiej koleżanki i te szepty: *nie patrz, nie patrz, bo on właśnie idzie...* Odejdą gdzieś ukradkowe spacery już we dwoje i nikt nie będzie wkładał sentymentalnych liścików do kieszeni szkolnego fartucha. Po prostu odeszliśmy w życie...

Wspomnienia spisała:
Barbara NOWICKA
foto. archiwum redakcji

Matura 1961 - 2011

tak jak 50 lat temu...



Nacieszcie oczy i ducha...

Moja droga

Fotografuje od lat. Jest cichym asystentem dużych i małych wydarzeń w naszym mieście, zawsze z aparatem fotograficznym. Elżbieta Dominiak, pani inżynier, mieszkanka Poznania, zapamiętuje i dokumentuje wszystkie te chwile tylko dla siebie i najbliższych. Nigdy nie myślała, mimo zachęty z różnych stron, aby upublicznić choć część tej swojej pracy. Aż w końcu trafiło na profesora Jerzego Woy-Wojciechowskiego. Jego wrażliwość na sztukę jest znana. Wychwycił więc w tych pracach Elżbiety Dominiak niesłychany ładunek poezji. Tak silnie się narzucający, że żadna z tych fotografii nie potrzebuje już oznaczania ani podpisu. Zwłaszcza, że towarzyszą im wiersze najwybitniejszej śremskiej poetki Niny Szmyt. Wyboru fotografii dokonała Patrycja Woy-Wojciechowska, układając je w cykl zmieniających się pór roku. Tonując i „rzeźbiąc” nastroje w ich rytmie.

Ten przepiękny album zatytułowany *Moja droga*, wydał profesor w założonym przez siebie wydawnictwie Domena. Opatrzył go przepięknym słowem wstępnym, w którym zachęca, aby dotknąć piękna, nasycić nim oczy, wzruszyć się wierszem. Jako lekarz poleca różne antybiotyki na radość istnienia. Wzruszenie na muzykę, urok obrazu, artyzm fotografii i na słowa poety, to sól życia. Profesor przytacza słowa córki Patrycji Woy-Wojciechowskiej, absolwentki fotografii Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w Barcelonie, która twierdzi, że artysta fotografik nie odtwarza widzialnego, lecz czyni go widzialnym. Zachęca nas więc, aby nacieszyć oczy i ducha łąkami kwiatów, dojrzałością lata, smętkiem kolorowej, pysznej jesieni i nadzieją śnieżnej bieli z Przychodzącym na świat, aby zobaczyć jak tu u nas po tysiącach lat...

Barbara NOWICKA

Kolęda 2009

*Jezusie, Jezusie, chybaś długo chodził
po niebie nad ziemią, niżej się narodził.*

*Pewnie nie wiedziałeś jak Cię tutaj przyjmą,
czy dadzą gospodę czy stajenkę zimną.*

*I dali snop siana, pomogli pasterze,
zaśpiewali kolędę Jezu w żłobie leży.*

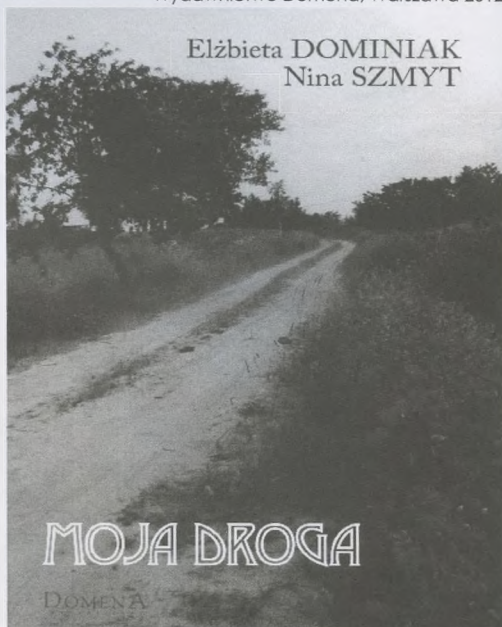
*I odtąd co roku gwiazdeczką na niebie
przychodzisz w wigilię, czekamy na Ciebie.*

*Jezusie maleńki pewnie chciałbyś wiedzieć
jak tu u nas na ziemi po tysiącach lat.*

*Zapytaj aniołów każdy Ci odpowie,
że nadal na świecie rządzą Herodowie.*

Gwiazdka 2009 roku

Elżbieta Dominiak, Nina Szmyt, *Moja Droga*,
Wydawnictwo Domena, Warszawa 2012



Nie zazdrość szczęścia tym, którzy żyją w raju głupców, bo tylko głupiec będzie uważał, że to jest szczęście.

Nie samym chlebem...

Spotkałam się kiedyś z dość żartobliwym poglądem, że tak zwana „nasza era” – okres od narodzin Chrystusa – jest krótsza o parę setek lat. Ten dziwny wniosek wziął się stąd, że kilka wieków wczesnego Średniowiecza utonęło w jakiejś pomroce i nie ma po nich wyraźnego śladu. Moje bardzo ogólne wykształcenie w tej materii każe mi przypuszczać, że ma to ścisły związek ze zwycięstwem plemion barbarzyńskich nad wyeksploatowaną cywilizacją rzymską, która, osiągnąwszy swoje kulturowe apogeum, legła z braku nowych konstruktywnych idei trwania lub rozwoju. Cesarstwo Rzymskie, opanowawszy w swych najlepszych latach więcej niż antyczną Europę, zarządzało między innymi całym ówczesnym dorobkiem myśli człowieka Zachodu. I całemu temu dorobkowi groziła ta sama ruina co Rzymowi.

Nastaly Wieki Ciemne. Termin ten jest obecnie rzadko i niechętnie stosowany przez historyków, a ukuty został na określenie okresu od 476 do 800 r. n.e., by doprecyzować czas, z którego niewiele zachowało się źródeł pisemnych i by podkreślić niechlebny w dziejach ludzkości etap intelektualnej ciemnoty i barbarzyństwa, w najbardziej pejoratywnym rozumieniu tego słowa. Na szczęście na czarnej mapie Europy istniała Zielona Wyspa. Izolowana od kontynentu Irlandia, w której chrześcijaństwo zasymilowało się z kulturą Celtów, przechowała zdobycze antyku dla potomności. Uczynili to mnisi irlandzcy, wywodzący się z celtyckich klanów, opanowani gorącą wiedzą i kultem księgi. Dorobek antyczny przetrwał w ukryciu do chwili,

gdy znów został uznany za powszechną wartość.

Piszę o tym, bo zauważam niestety nawrót koła historii i obawiam się, że wszelkie znaki na niebie i ziemi komunikują ponowne nadejście Wieków Ciemnych. Piszę o tym, ponieważ moja frustracja z tego powodu jest zbyt silna, bym umiała się powstrzymać.

Bardzo bym chciała i szczerze mówiąc aspiruję, ale nie mam jeszcze odwagi nazwać siebie intelektualistką. Nie spodziewam się, że kiedykolwiek będę miała na to odwagę, bo – oczywiście – im więcej wiedzy, tym bliżej Sokratesa i jego „wiem, że nic nie wiem”. Jednakże, gdyby rozwarły się niebiosy i mogłabym poprosić ten jeden jedyny raz, poprosiłabym, jak król Salomon, o rozumne serce. Sam intelekt, taki powiedzmy „rozumny rozum”, to niebezpieczne narzędzie, które relatywizuje, dopuszcza i usprawiedliwia wszystko. Intelekt sam dla siebie jest interesujący i nie pochyla się nad organizmem mniej rozwiniętym, nawet gdyby był tego samego gatunku. Jeśli brak pomysłu jak to narzędzie wykorzystać, udoskonalanie go prowadzi donikąd.

Żyjemy w czasach rządów „zimnego intelektu” i coraz wyraźniej widać rozwierającą się przepaść. Z jednej strony człowiek potrafi naprawdę wiele i cywilizacja nasza jest technologicznie niebywale zaawansowana, z drugiej rosną całe rzesze ludzi, którzy kompletnie nic z tego nie rozumieją, których systematycznie coraz gorzej się kształci,

a tym samym odsuwa od zdobyczy teje najdalej rozwiniętej cywilizacji. Wybitni naukowcy wszelkich maści prą do przodu opętani manią przekraczania wszelkich barier. Zastanawiam się jednak, czy człowiek tak naprawdę potrzebuje np. sztucznej inteligencji albo sklonowanego sobowtóra. Zastanawiam się w imię czego powstają coraz to nowe technologie, które stawiają człowieka w opozycji do natury – do jego otoczenia i do niego samego także, tym bardziej, że nie przekłada się to na rzeczywistą i powszechną poprawę jakości życia. Zwykły człowiek – niezbyt wybitny, niezbyt utalentowany, żyjący z dala od pierwszych stron gazet – to dzisiaj nikt. Ma dwie możliwości: zunifikować się z nurtem propagowanym przez masowe media lub popaść w niebyt. Zwykłemu człowiekowi odbiera się dzisiaj prawo do jego indywidualnego i unikalnego istnienia. Bo, wbrew nasilającym się ruchom religijnym, nie o duszę w naszych czasach gra się toczy, a o każdy możliwy do zdobycia grosz.

Co ciekawe, raczej nie da się wskazać winnych obecnego stanu rzeczy. Ludzki ocean jest teraz przyciągany przez takiego właśnie satelitę i niedorzecznością zdaje się być każda próba protestu. Machina cywilizacyjna toczy się napędzana tymże „zimnym intelektem” bez względu na to, co pojedynczy jej trybik sobie o tym myśli. Ba! korzystnym dla trybiku jest nie myśleć, nie wiedzieć, nie być świadomym. Na całe nieszczęście nie wszystkie kółka tej maszyny to potrafią. Co gorsza, nie wierzą, że tak być nie musi.

Dylemat mój, świadomej części mechanizmu, polega na tym, że bardzo chcę, a nie wiem jak przeciwko temu zaprotestować. Nie wiem przeciwko czemu tak konkretnie mam zaprotestować. Wydaje mi się, że przede wszystkim powinien nastąpić jakiś zorganizowany bunt przeciwko kultowi głupoty. Zjawisko

to jest globalne i dotyka wszystkich społeczeństw. Nie tylko w naszym kraju wyrocznią dla tłumów są gwiazdki showbiznesu, a poziom powtarzanych w nieskończoność reklam jest tak niski, że chciało by się wytoczyć sprawę o obrazę „uczuć intelektualnych”. Nie tylko w naszych szkołach, które praktycznie niczego już nie wymagają, uczniowie są opanowani frustracją przeradzającą się w agresję. Nie tylko my produkujemy nowe hordy barbarzyńców, którzy – jak ostatnio kibice piłkarscy w Katowicach – bezmyślnie i bezsensownie niszczą, demolują i krzywdzą. Rozumiem dlaczego tak jest, dlaczego ci ludzie tak się zachowują i skąd biorą się pytania leniwego ucznia: „po co mi ta wiedza?” lub „do czego mi się to przyda?”. Gdyby bunt miał miejsce, cóż oni zyskają, ponownie uszanowani w swym człowieczeństwie? Własną indywidualność, która objawi im to, co i tak już czują – świadomość bezsilności?

Mój rozum relatywizuje moje radykalne oczekiwania. Moja wiara w człowieka – przeciwnie. Wyobrażam sobie, że gdyby mądrych było więcej... Wyobrażam sobie, że tędy droga do wyjścia z impasu. Bo mam nieodparte wrażenie, że nikt – ani cała sześciomiliardowa ludzkość, ani pojedynczy najbardziej wpływowi technokraci – nikt nie wie co dalej, jaki obrać cel i do czego dążyć. Czysty rozum zgubił po drodze swoją misję, odizolował się od swojego naturalnego środowiska – człowieka. Filozofia Immanuela Kanta i jego „prawo moralne we mnie” dawno straciły znaczenie, a być może to właśnie jest klucz do ponownego „zhumanizowania” rozpasanego intelektu.

Jeszcze niedawno wydawało mi się, że gdybym mogła wybierać czas, w jakim chciałabym żyć, wybrałabym drugą połowę dziewiętnastego wieku – etap kształtowania naszej nowocze-

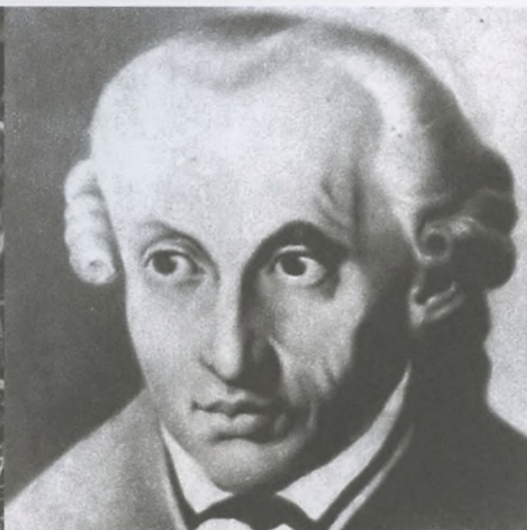
sności. Ten okres, aż do początku światowych wojen XX wieku, jawi mi się epoką światła. Naukowcy, artyści i narody całe – ludzie wytyczyli wówczas nowe kierunki i idee, które tak naprawdę konsumujemy do dzisiaj. Jednakże ich śmiałe wizje, wcielane z takim zapałem w życie, doprowadziły do katastrofy, której żniwo najprawdopodobniej nadal zbieramy. Potrzebskani kataklizmami intelektualistami i artyści drugiej połowy dwudziestego wieku wycofali się i oddali pole bezdusznym technokratom. Nie wiedzą nas już umysły światłe, lecz cyniczne i wyrachowane. Elity w swej dobrowolnej banicji przyjęły rolę najczulszych sejsmografów, które przewidują i ostrzegają, komunikując się w nie zawsze czytelny dla nas sposób. Uciekli od wcześniejszej harmonii w abstrakcję, „pure nonsense”, dodekafonię i tym podobne zjawiska, które – nawet jeśli zrozumiałe – ciągle jeszcze są nam estetycznie obce. Przewidzieli chaos,

w którym się pograżamy i nadal mówią do nas tym językiem.

„Jakaż jest przeciw włóchni złego twoja tarcza” – pytał „sejsmograf” końca XIX wieku, Kazimierz Przerwa Tetmajer. Cóż. Są ludzie, dla których najważniejsze jest trwanie za wszelką cenę i w każdych warunkach. Są też ludzie, dla których istnieją nieprzekraczalne granice kompromisu, dla których ważniejsza od trwania jest tożsamość. Można o nią walczyć przeciwko narastającej masie barbarzyńców, a jeśli się nie da – zamknąć się w klasztorach własnych domów i przechować zdobycze ludzkiej kultury dla kolejnego Renesansu, nawet gdyby to miało być za czterysta lat.

Katarzyna GWINCIŃSKA

Janson Mornoa w filmie „Konan Barbarzyńca” z 2011 roku kontra Immanuel Kant



Widelcem w Paryż

Z górnej półki

Książki Stephena Clarka można umieścić zdecydowanie na górnej półce, tyle że będzie to półka w dziale „komedie i humoreski”. Jednak zupełnie świadomie i z wielkim zapałem polecam Państwu lekturę tego inteligentnego i prze zabawnego pisarza.

Stephen Clarke jest Brytyjczykiem. Skończył na Oxfordzie studia lingwistyczne (francuski i niemiecki), potem pracował przy edycji słowników, pisywał scenariusze komediiowe dla BBC, podróżował trochę po Europie, wreszcie osiadł na stałe w Paryżu, by z charakterystycznym angielskim humorem, a zarazem niezwykle krytycznie, opisywać Francuzów i ich obyczaje. Mimo tysiąca uszczypliwości, których nie szczędzi mieszkańcom Hexagonu, mimo setek anegdot, mających pokazać, jakimi dziwolągami są „żabojady” – widać, jak na dłoni, że Stephen Clarke jest po prostu we Francji bez pamięci zakochany. Co sam zresztą przyznaje w jednym z wywiadów – zaczepki, tłumaczy, są przecież zwykle adresowane do ludzi, których się lubi! Za co, mianowicie, Clarke lubi Francuzów? Przede wszystkim podoba mu się to, że we Francji pracuje się, by żyć, a nie odwrotnie... No i – nie jest w tym szczególnie oryginalny – uwielbia francuską *l'art de vivre*, rozumianą jako umiejętność brania z życia wszystkiego, co jest w nim najlepsze: smaczne jedzenie, pyszne wino, radość dzielenia się tymi prostymi przyjemnościami z przyjaciółmi.

Francuski obiad, „déjeuner”, to cała instytucja. Potrafi trwać nawet i dwie godziny, w tym czasie zamiera w mieście ruch na ulicach i zatrzymują się zegary, natomiast zapełniają po brzegi restauracje. Nikt tu nie je byle czego i byle jak,

nikt nie je też w skupieniu – radosny gwar zagłusza każdą próbę normalnej konwersacji. O czymś jednak muszą mówić Francuzi skoro tu taki hałas? O jedzeniu, of course! O daniach, które właśnie jedzą, o tych, które zjedli w przeszłości i zjedzą w przyszłości. O tym, jak przyprowadzała sos holenderski ich matka, o jakości i kolorze *bordeaux*, który ser z Pirenejów jest najlepszy i gdzie w Paryżu można dostać pyszną bagietkę. Tej jedynej w swoim rodzaju atmosfery niewymuszonej, wesołej biesiady, nie psują bynajmniej arogancyi paryscy kelnerzy... Ich specyficznym obyczajom, wyraźnie zafascynowany Stephen Clarke, poświęcił sporo miejsca w książce, która uczyniła go znanym zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i we Francji – „Merde. Rok we Francji”. Powieść tę Clarke, od lat piszący do szuflady, wydał własnym sumptem w ilości 200 egzemplarzy i osobiście rozwoził wózkami na zakupy po londyńskich księgarniach, namawiając do nabycia książki – taką wersję podaje sam humorysta i tej wersji będziemy się trzymać... Co więcej, udało mu się! W 2005 roku książkę wydało poważne brytyjskie wydawnictwo i wkrótce stała się bestsellerem po obu stronach Kanału La Manche. Prawa do jej przekładu kupiły wydawnictwa z kilkunastu krajów, z tym nasze polskie W.A.B.

Powieść opowiada o młodym Brytyjczyku, który przybywa do Paryża, by otwierać sieć angielskich herbaciarni. Rzucony w kompletnie odmienną kulturę, próbuje przetrwać i nie dać się pożreć żywcem „żabojadom”, co udaje się mu tylko częściowo, a nam pozwala obserwować zderzenie „brytola” z francuską obyczajowością śmiejąc się do łez.

Nota bene, tytuł książki, może kojarzyć się osobom znającym choć trochę Paryż, z tradycyjnymi przygodami z.... psią kupą – jeszcze kilka lat temu trzeba było mieć doprawdy szczęście, by choć raz w tygodniu nie wdepnąć o poranku w „merde” zostawione na chodniku przez francuskiego pieska. Nic dziwnego, że słowo jest najczęściej używanym przez paryżan przekleństwem!

Od czasu napisania „Merde...”, Stephen Clarke stał się jedynym żyjącym znawcą Francji, a w szczególności Paryża (żartuję). Wydał jeszcze pięć książek na ten sam temat (!), co może świadczyć albo o przebogatej francuskiej naturze, będącej kopalnią temtów, albo o bujnej wyobraźni pisarza. Zapewniam Państwa, że prawdziwe jest jedno i drugie, a zabawa za każdym razem przednia.

W tym roku ukazała się kolejna książka humorysty „Paryż na widelcu” – jest to rodzaj subiektywnego przewodnika po mieście z mnóstwem zabawnych anegdot, także historycznych. Tutaj również Stephen Clarke nie szczędzi paryżanom dowcipnych złośliwości, co paradoksalnie przybliży nam miasto i jego mieszkańców.

Jesteśmy w przededniu Świąt Bożego Narodzenia. Rodzi się być może pytanie, dlaczego wybrałam dla Państwa pod choinkę tę właśnie mało poważną lekturę? Otóż dlatego, że w moim rozumieniu Stephenowi Clarkowi udało się przekazać kompletnie bez zadęcia, na przykładzie Brytyjczyków i Francuzów, jak różnić się pięknie, jak – w dobrym humorze, popijając znakomite wino – rozmawiać o tym, co

nas, mieszkańców Europy różni – bez nienawiści i obrzucania się błotem...

Poza tym, jak mawia Mikołajek – bohater książki Sempé i Gościnnego – no co, kurczę błade, można trochę się pośmiać, no nie? A zatem Wesołych Świąt.

J.A.

Merde! Rok w Paryżu (W.A.B. 2006),
Paryż na widelcu Warszawa: W.A.B., 2012,
1000 lat wkurzania Francuzów: W.A.B., sierpień 2012,
Merde! W rzeczy samej (W.A.B. 2007),
Merde! chodzi po ludziach (W.A.B. 2008)
M jak Merde! (W.A.B. 2010).
Jak rozmawiać ze ślimakiem. Dziesięć przykazań,
które pomogą ci zrozumieć Francuzów (W.A.B. 2008)

Stephen Clarke



Powrót do domu

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach... mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Argentyna, kraniec Ameryki Południowej. Od tropikalnych lasów na północy, przez europejską metropolię Buenos Aires i trawiaste równiny pampy po surowe, i płaskie krajobrazy Patagonii, i lodowe szczyty Andów. Ta różnorodność odbija się także w kinie, jednym z najciekawszych w ostatnich latach.

Od kilkunastu lat w argentyńskim kinie trwa niezwykle ożywienie. Nowe Kino Argentyńskie to jedna z wielu etykiet jakie się przypisuje twórczości młodego pokolenia reżyserów z tego kraju (Lisandro Alonso, Israel Caetano, Lucrecia Martel, Carlos Sorin).

W filmach nowego pokolenia częstokroć wielką rolę odgrywa pejzaż i środowisko – czy to żywioł dżungli u Alonso, tropikalna Salta u Martel, czy bezkresne równiny Patagonii u Sorina i Sandry Gugliotty; także gwałtowne i chaotyczne życie metropolii zyskało swój przekonujący wizerunek u Caetano i Pablo Trapero.

Kino jest tu narzędziem do hiperrealistycznej czy wręcz naturalistycznej analizy świata. Dociekliwa kamera wydobywa, częstokroć bez śladu inscenizacji czy stylizacji, całą światą materialność (ciało, faktura, światło, rzeczy) i codzienność (dokumentalizm, fragmentaryczność, afabularność, otwartość). Nie przez przypadek więc mówiąc o Nowym Kinie Argentyńskim, mówi się także o naturalizmie poetyckim i minimalizmie.

Powrót do domu to debiut reżyserski Milagros Mumenthaler. Ten mały, kameralny obraz doskonale wpisuje się w nurt Nowego Kina Argentyńskiego. Film imponuje swoją prostotą, minimalizmem; przemysłany w najdro-

bniejszym szczególe i mistrzowsko zainscenizowany, niezwykle subtelnie i dogłębnie ukazujący skomplikowane relacje postaci, wnikać w psychikę każdej z nich. A do tego jest najzwyczajniej w świecie wzruszający. *Powrót do domu* to wciąż jedyny film skierowany wyłącznie dla osób preferujących kino kontemplacyjne.

Buenos Aires. Trzy nastoletnie siostry, Marina, Sofia i Violeta snują się po wielkim domu. Jest środek lata, więc lęk lodowatej wody doskonale uzupełnia skąpy strój. Właściwie nie robią nic poza oglądaniem telewizji i wylegiwaniem się na słońcu czy też na kanapie. Długie ujęcia wkomponowują nas w ten stan bezruchu i nudy, która wypełnia codzienność bohaterek.

Stopniowo narasta jednak konflikt między nimi, który objawia się burzliwymi wymianami argumentów i nagłym wyjazdem jednej z sióstr. Co się właściwie dzieje w rezydencji, która babcia zapisała wnuczkom w testamentcie? Dlaczego prawie wszystkiego musimy się domyślać? Trudno odpowiedzieć jednoznacznie, ponieważ fabuła *Powrotu do domu* rodzi głównie pytania i pozostawia widza w stanie twórczego domysłu.

Mumenthaler nie chce żebyśmy zbyt dużo wiedzieli o bohaterkach. Ich motywacja w znacznym stopniu pozostaje niejasna, ale obraz, który budujemy na podstawie strzępów rozmów i impulsywnych zachowań dziewcząt, pozwala nam zajrzeć w przeszłość, od której siostry ewidentnie uciekają. Co tak naprawdę oddaliło je od siebie? Śmierć rodziców, czy surowe metody wychowawcze babci? Reżyserka celowo stawia nas w sytuacji, w której nie mając praktycznie żadnych informacji, musimy

spróbować zrozumieć Marine, Sofie i Violete.

Najciekawszą postacią wydaje się Sofia (Martina Juncadella), która prawdopodobnie skrywa najwięcej tajemnic. To ona usilnie próbuje uciekać od swoich korzeni i rozpocząć życie od nowa. W tajemnicy przed Violetą pozbywa się wszystkich rzeczy należących do ich zmarłych rodziców i pod wpływem impulsu opróżnia salon z mebli. Ścina drzewo, pod którym były pochowane prochy babci, bo nie chce wspomnień i świadectw traumy (jakiej? tego nie wiemy) wokół siebie. Bezlitośnie odcina się od sióstr i wszystkiego co związane z rodziną. To jej najczęściej nie ma w domu, a kiedy już wraca, zamyka się w swoim pokoju. Jej wykorzenienie jest świadectwem buntu, który nie wiemy przeciwko czemu jest skierowany.

Narratorem całej historii jest dom. Nie widzimy co dzieje się poza nim. Reżyserka zamiast podążać za swoimi bohaterkami, obserwuje je oczami ścian, okien i drzwi domostwa, a kiedy tylko przekraczają jego bramę, znikają z pola widzenia, jakby przestawały istnieć. Ale przecież wiemy, że gdzieś poza jego ogrodzeniem istnieje inny świat, z którym bohaterki nawiązują normalny kontakt – chodzą do szkoły, do miasta; ale co się tam dzieje pozostaje w sferze domysłów i czystych insynuacji/interpretacji widza. Za to wewnątrz domu możemy zajrzeć w najbardziej intymne jego miejsca. Wiemy, kiedy lokator Francisco spędza upojną noc ze swoją dziewczyną i kiedy Marina podkrada siostrze ubrania. Jesteśmy świadkami sytuacji do bólu zwyczajnych, w których młode kobiety oglądają telewizję, jedzą makaron albo nie odbierają telefonu, ponieważ nie chce im się wstać z kanapy. Poznajemy ich codzienność, nie znając przyczyny marazmu tej jałowej egzystencji.

Poprzez szereg banalnych, prozaicznych czynności argentyńska reżyserka pokazała całkiem skomplikowaną sieć emocjonalnych powiązań między siostrami, ich skrywane kompleksy, frustracje, pretensje, smutki, żale, pragnienia. Większość przekazu Mumenthaler ukryła jednak nie tyle w samych bohaterkach, ich dialogach, gestach czy zachowaniach, ale też w otaczających je domowych przedmiotach, bibelotach, meblach, którym reżyserka nie

poskapiła niemalże ważkiej, drugoplanowej roli.

Takie małe-wielkie filmy, jakim jest *Powrót do domu* często stawiają na tworzenie klimatu, poświęcając jednocześnie fabularną przejrzystość. Dokładnie ten zabieg stosuje Milagros Mumenthaler, dając nam do zrozumienia jak wiele ukrytych przekazów skrywa się pod postacią czynności banalnych, wykonywanych niby machinalnie. Niedopowiedzeniami buduje aurę gry psychologicznej, za pomocą której namawia nas do uważnego i analitycznego wpatrzenia się w świat jej filmu oraz wyniesienia tej umiejętności poza salę kinową.

Gorąco zatem namawiam do zapoznania się z tą niebywale czystą i poetycką estetyką zwaną Nowym Kinem Argentyńskim. Naprawdę warto!

Joanna CHMIELEWSKA

"Powrót do domu" ("Abrir Puertas y Ventanas")

scenariusz i reżyseria: Milagros Mumenthaler

zdjęcia: Martín Frías

muzyka: Fran Gayo

obsada: Maria Canale, Martina Juncadella, Ailin Salas, Julian Tello

kraje: Argentyna, Szwajcaria

rok: 2011 czas trwania: 98 min

premiera w Polsce: 6 stycznia 2012



Eutanazja w Polsce jest nielegalna. Czyżby?



OKIEM KOTA FILANTROPA

Co za koszmarny dzień. Wizyta u weterynarza. Zęby, uszy, pazury... na szczęście obcięli mi tylko to ostatnie. Przynajmniej ktoś o mnie dba. Do czasu. Pewnego dnia i tak będzie po kocie. Ale nie ma co się przejmować. I tak mam lepiej niż ludzie. Załatwią mnie już przy pierwszym podejściu. Ludzi uśmierca się stopniowo.

Weźmy takich Altruistów. Prawda usiłuje umówić babcię Altruistkę – emerytkę na wizytę do neurologa. Telefon do przychodni.

- Dzień dobry, chciałabym umówić wizytę u neurologa.
- Rejestracja zakończona.
- Ale mamy dopiero styczeń!
- Proszę pytać po trzydziestym czerwca.

Telefon do przychodni. Początek lipca. W tej samej sprawie.

- Przykro mi, ale umowa z NFZ nie została jeszcze podpisana. Proszę się dowiadywać w połowie lipca.

Telefon do przychodni. Połowa lipca. W tej samej sprawie.

- Jeszcze nie ma rejestracji. Proszę o telefon w przyszłym tygodniu.

Przyszły tydzień. Telefon. Ta sama sprawa.

- Rejestracja po dwudziestym piątym lipca.

Dwudziesty szósty lipiec. Telefon.

- Nie, jeszcze nie ma rejestracji. Proszę o telefon w przyszłym tygodniu.

Kolejny tydzień. Telefon.

- Przykro mi. Rejestracja na ten rok jest zakończona. Proszę pytać w styczniu.
- Czy lekarz przyjmuje prywatnie? - pyta Prawda z rezygnacją.

Mniej więcej w tym samym czasie telefon w sprawie diabetologa, bo dziadek Altruista ma

cukrzycę i koniecznie musi być pod kontrolą odpowiedniego specjalisty.

- Przykro mi, w tym roku nie mamy podpisanej umowy ze specjalistą.
- A orientuje się pani, gdzie specjalista przyjmuje prywatnie?
- W mieście obok. Niedaleko. Tylko jakieś czterdzieści kilometrów.

Z poradnią stomatologiczną było lepiej, ale tylko dlatego, że ząb nie bolał. Nagły przypadek? Tego Altruściści nie przerabiali, ale aż strach się bać.

Bezpłatna wizyta u okulisty w ramach jakiejś super ekstra akcji? Badanie przeprowadzone. Ustalono wadę wzroku. Odpowiednia recepta zakamuflowana w kopercie. Koperta zostawiona w salonie. Bezpłatny pacjent poinformowany, że recepta zostanie otwarta w salonie XY, gdy ów bezpłatny pacjent przyjdzie ją zrealizować. Do tej pory nie będzie świadomy, czy ma plus czy minus, jaskrę, zaćmę, astygmatyzm, czy oślepl zupełnie i recepta jest na ciemne okulary. A jeśli jeszcze nie oślepl stanie się to w momencie zapłaty rachunku za okulary, które w salonie obok są o połowę tańsze, ale oni nie brali udziału w bezpłatnej akcji, bo są za tani.

W międzyczasie w podobny sposób została załatwiona przy próbie rejestracji u kilku innych specjalistów, w tym i u psychiatry. Ten ostatni stał się niezbędny po próbie dostania się do neurologa, dentysty i po wizycie u okulisty. Co tu dużo mówić. Złamali ją. Cała rodzina ze swoich składek utrzymuje szereg instytucji, a do specjalistów chodzi prywatnie. Przynajmniej lekarz rodzinny się przyda. Do wypisania recepty. Ale i tu pod górkę.

Byliśmy w aptece. Co recepta to inny kwiatek. Babcia Altruńska mieszkała jednocześnie pod dwoma adresami. U siebie i u sąsiada. Wiek – 4 miesiące, choć PESEL prawidłowy. Lek nr 1 – dawka, której nie ma. Lek nr 2 – dwa opakowania leku na obniżenie ciśnienia, 100 szt. w jednym. To leki na miesiąc. Podobno. Jak weźmie wszystkie, po kolejną receptę przyjdzie grabarz. Refundacja przy większości lekarstw zaznaczona w systemie toto lotka, czyli na chybił trafił. Dostało się farmaceutce. A ona najmniej winna. Ale strasznie jej przykro, że nie może zrealizować recept. Chciałaby, ale nie może. Ostatecznie nie kupiliśmy nic. Starsza pani stojąca w kolejce obok nas wykupiła połowę lekarstw, bo sama sobie zmniejszyła dawkę. Cudowne ozdrowienie i nawet nie musiała jechać do Sanktuarium Maryjnego, gdzie cuda się zdarzają. U nas takie cuda są na porządku dziennym. Wystarczy pójść do apteki. Starszy pan przed nią też wykupił tylko część recept uprzednio zapytawszy farmaceutkę, które leki musi koniecznie wykupić, żeby przeżyć do kolejnej wizyty w aptece. Za miesiąc. A co wizyta to chudszy. I bledszy. A jak zachorować na raka to tylko na początku roku, bo potem funduszy na dofinansowanie do leków może zabraknąć.

Rodzina Atruńskich spora, bo jeszcze dziadek, wujek, ciocia, a wszystkiego sztuk dziesięć. I wszyscy są ubezpieczeni. Obowiązkowo. Apsik! Na zdrowie! A gdzie ubezpieczenie od systemu opieki zdrowotnej? Nie ma. Instytucja zbankrutowała w chwili powstania.

I wszystkim jest bardzo przykro. Tak przykro, że łyżę mnie, kotu, z żalu nad ludźmi się kręca. Jak tak dalej pójdzie to z tej przykrości niedługo

w recepcji przychodni telefonu nikt nie odbierze, bo wszyscy będą na urlopie zdrowotnym. Z powodu epidemii depresji.

Ja to mam szczęście. Gdy będę głuchy, ślepy, wypadną mi zęby, zacznę potykać się o własny ogon, dostanę zastrzyk i zejdem z tego świata. Humanitarnie. Ludzie nie mają tyle szczęścia. Bo eutanazja w Polsce jest legalna. Tyle, że na raty.

Olga RUDNICKA
autorka powieści kryminalnych
współpracująca z Pruszyński S-ka
www.rudnickaolga.pl

Olga Rudnicka

foto. Anna Drgas



Prawda ukryta w słowach

Sezon teatralny 2012-2013 Śremskie Stowarzyszenie Miłośników Teatru powitało nietypowo. Zaprezentowano bowiem koncert na dwoje skrzypiec, altówkę i wiolonczelę w wykonaniu instrumentalistek poznańskiej filharmonii: Kariny Jakubowskiej, Anny Wachowiak, Lidii Kaźmierczak i Izabelli Gontarz. Usłyszeliśmy kilkanaście utworów z popularnych musicali, a także zapisane w pamięci wielu z nas melodie filmowe, jak na przykład walc z filmu *Dnie i noce*, muzykę z filmu *Doktor Żywego, Szpieg w masce, Różowa pantera, Ojciec chrzestny, Ogniem i mieczem, Lista Schindlera, Gwiazdne wojny*. Repertuar spory i w sam raz na sentymentalną nutę jak u progu jesieni by wypadało. Dla wytrwałych w drugiej części koncertu były utwory muzyki poważnej, ale tu również te najbardziej znane i przez słuchaczy dawno „oswojone”, zaostrożające jednak apetyt na obcowanie ze sztuką. O co przecież organizatorom chodziło.

Po takim wstępie nie brakowało chętnych na pierwszą w sezonie wyprawę do Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, gdzie na Scenie Kameralnej zobaczyliśmy sztukę niezwykle refleksyjną. Choć oznaczoną jako komedia. Bo i taki jest ten utwór w swojej warstwie zewnętrznej. Jednak im dłużej rozważa się jej treść, tym więcej pojawia się spraw do przemyślenia, zastanowienia nad sposobem funkcjonowania społeczeństwa. Jej autor Gerald Sibeyras jest wschodzącą gwiazdą dramaturgii francuskiej. Obejrzelśmy jego sztukę *Napis*, której prapremiera odbyła się w Paryżu w Teatrze Petit Montparnasse w roku 2004. Szybko została zauważona jako ważny głos w sprawie francuskiej współczesności. Ale większość akcentów i znaczeń odnosi się jak najbardziej do innych krajów i do nas.

Zadomowiła się zatem i na scenach teatrów

europejskich i polskich. *Napis* pierwszy raz wystawiono w Teatrze Współczesnym w Szczecinie w reżyserii Anny Augustynowicz – twórcy o bardzo dobrej renomie. Choć widownia teatralna ogranicza liczebnie krąg odbiorców, to już Teatr Telewizji daje tu ogromne możliwości. A właśnie w tym teatrze w roku 2009 również zrealizowano *Napis*. Reżyserował Maciej Englert, grali Krzysztof Kowalewski, Agnieszka Pilażewska, Leon Charewicz, Monika Krzywkowska, Janusz Michałowski i Marta Lipińska. Odwołuję się do tej realizacji, bo kto nie miał okazji być na niej w teatrze być może przypomina ją sobie z tej właśnie okazji.

Naprawdę warto się z tą sztuką zapoznać, gdyż opisuje proces, który u nas jest ledwie widoczny ale już zaczyna zdobywać sobie coraz szersze pole. Chodzi o tak zwaną „poprawność”. Bohaterowie *Napisu* wystawionego w teatrze kaliskim, w reżyserii Norberta Rakowskiego – trzy małżeństwa w różnym wieku – pan i pani Cholley (Agnieszka Dziecielska, Michał Wierzbicki), państwo Bouvier (Bożena Remelska, Maciej Grzybowski) i państwo Lebrun (Aleksandra Domańska/Zofia Zoń, Maciej Więckowski) mieszkają w kamienicy w której są sami porządni ludzie. Kulturalni i tolerancyjni, wszyscy są mili i niesłychanie uprzejmi, poglądy mają nowoczesne i nigdy nie mieszają się w sprawy innych. Na samym początku w tej sielance pojawia się ostry zgrzyt. Dwa tygodnie po wprowadzeniu się nowych lokatorów – państwa Lebrun – w windzie, tuż obok lustra pojawia się obelżywy napis „*Lebrun jest ch...*”. Znieważony pan Lebrun rozpoczyna śledztwo, odwiedza innych lokatorów i chce się dowiedzieć nie tyle kto, ale dlaczego tak postąpił. Słowem jętrzy. Kulturalni i taktowni współlokatorzy nie rozumieją dlaczego. Przecież może napis usunąć i na tym będzie koniec. Zresztą w windzie czegoż to nie wypisują.

Śmierć faszystom i inne rzeczy, na które nikt nie zwraca przecież już uwagi. Więc zaczynają rozważać, czy ów pan Lebrun nie zasługuje na takie określenie. Może jest Żydem.... A z nimi to różnie. I tak w miarę toczenia się akcji okazuje się jak cienka i fałszywa jest maska wymuszonej poprawności, której symbolem jest odmieniane na wszystkie sposoby słowa kultura, jawność i tolerancja. Co wcale nie przeszkadza panu Bouvier ujawniać, że w rzeczywistości wcale nie jest tolerancyjny a i z kulturą też różnie. Zaś jego małżonka, taka wszystko wiedząca jak należy w każdym wypadku postępować, zostaje tu zdemaskowana, bo jej sądy, stwierdzenia, poglądy i rady nie są poparte wiedzą lecz stanowią zlepek komunałów z telewizji i kolorówek. Nawet nie zauważamy jak poddaje to ludzi pod dyktando wspólnoty, jak tracimy na jej rzecz wiele ze swej wolności. Nieświadomie lub świadomie, ze strachu przed samotnością,

jeżeli pozostaniemy szczerzy i przy swoich poglądach. Taka jest cena?

Więc dlatego warto obejrzeć *Napis*, bo sądząc, że ta małoobsadowa czarna komedia będzie grana długo na niejednej scenie. Kaliska realizacja pokazuje też jej walory dramaturgiczne – zawiązanie akcji, tempo, świetne dialogi. Aktorzy dobrze są wpisani w swoje postacie, choć na ogół sympatie koncentrują się na Macieju Grzybowskim, odtwórcy pana Bouvier za to, że tak często zdejmuje maskę poprawności. Ale tak została zakrojona jego rola. Każdy miał tu precyzyjnie rozłożone akcenty, aby morał był tak wyraźny.

Obejrzała dla Was:
Barbara NOWICKA

Jan Sip z artystami Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego



Kto nie szanuje zmarłych, nie szanuje też życia...

Szewach Weiss

Początek listopada prawie zawsze kojarzy nam się z Dniem Wszystkich Świętych i Zaduszkami. Większość Polaków udaje się na groby swoich bliskich by je przystroić i zapalić znicze. Jest to też okazja by powspominać tych, których już wśród nas nie ma, ludzi bliskich, kochanych i szanowanych ludzi, których podziwiamy lub tylko doceniamy, którzy w jakiś sposób wpłynęli na nasze życie...

Odwiedzamy cmentarze. Te ogromne, komunalne i te małe, ciche, zagubione.

Mnie zawsze fascynowały te odrębne kulturowo, cmentarze innych nacji, innych religii. Pewnie dlatego, że w czasach mojej młodości tak niewiele o nich było wiadomo...

Będąc jeszcze studentką trafiłam na cmentarz żydowski na krakowskim Kazimierzu przy ul. Szerokiej, niestety był za wysokim murem i zawsze zamknięty. Żeby go obejrzeć, choć z daleka, należało wdrapać się na 4 piętro

sąsiadującej z nim kamienicy i spojrzeć z góry. Widok był niepowtarzalny, choć całość robiła wrażenie miejsca opuszczonego, wymazanego z pamięci... Taka sama sytuacja powtórzyła się w Pradze. Żadna z organizowanych wycieczek nie miała w ofercie zwiedzania Josefowa, historycznej dzielnicy żydowskiej, gdzie mieści się najstarszy zachowany w Europie cmentarz tej kultury.

Kiedyś w czasie wolnym dotarłam z przyjaciółmi pod jego mury, ale spojrzeć mogłam przez szczelinę. Uderzyła mnie uroda renesansowych nagrobków tak sfalczonych, jakby ktoś układał je warstwami w sobie tylko znaną całość... I, choć było to prawie 40 lat temu, postanowiłam tam wrócić. Później byłam jeszcze kilka razy w cudownie urodnej czeskiej stolicy, ale nigdy nie miałam okazji by dotrzeć na cmentarz. Ale jak to zwykle bywa, przypadek zrządził.

Otóż w 2010 roku ukazała się w Polsce książka znakomitego włoskiego pisarza Umberto Eco pt.

Kirkut w Pradze



„Cmentarz w Pradze”, która zafascynowała mego męża do tego stopnia, że chciał zweryfikować swoje odczucia na miejscu. Osobiście wolę „Historię piękna” i „Historię brzydoty”, które tematycznie są mi bliższe, nie mówiąc już o „Imieniu róży”, którą wręcz pochłaniałam wiele lat temu...

Ale wracając do „Cmentarza...”, przyznaję, że dla mnie okazał się literaturą trudną, ze względu na występującą mnogość opisywanych zdarzeń historycznych, opisy dziwnych stowarzyszeń, masonów, jezuitów, słynnych postaci XIX w, o których najpierw należałoby czegoś się dowiedzieć by czytać świadomie. Utknęłam w połowie, ale na pewno do książki wrócę. Sprowokowała jednak nasz kolejny wypad do Pragi, specjalnie po to, by wreszcie zobaczyć ów szczególnie zabytek. Pojechaliśmy do dzielnicy żydowskiej z samego rana. Przewodnik Książki i Wiedzy szczegółowo tłumaczył jak tam dotrzeć różnymi środkami lokomocji, bądź spacerem ze Starego Miasta. Pojawiały się też często naprowadzające drogowskazy.

I... zaskoczenie. Przed kasą całego kompleksu Muzeum Żydowskiego, w skład którego poza cmentarzem wchodzi jeszcze 4 synagogi, czekała już grupa ponad 100 turystów z całego świata w tym wielu w charakterystycznych jarmułkach. Tłum był wielojęzyczny, zdyscyplinowany i kulturalnie znosił wolne

przesuwanie się do przodu. Bilet złożony z kilku części pozwalał zwiedzić kirkut oraz synagogi Meisela, Pinkasa, Klausa i szczególną – Hiszpańską, gdzie do dziś trwają obrzędy. Jest dość drogi jak na warunki czeskie, ale nie ma możliwości wybrania jakiejś opcji zwiedzania, trzeba wykupić całość.

W budynkach dawnych synagog można obejrzyć przedmioty sakralne i dokumenty a także zapoznać się z tradycją obchodów różnych świąt żydowskich. Całość dla osób niewtajemniczonych trochę etnograficzna. Przygłębiające jest zwiedzanie synagogi Pinkasa. Na ścianach wypisano nazwiska czeskich Żydów, którzy zginęli podczas Holocaustu oraz pokazano 4500 rysunków dzieci powstałych w Terezynie w latach 1942-1944. Wrażenie wstrząsające!

Ale mnie głównie interesował kirkut. Kirkut, czyli cmentarz, bo tak w Polsce przyjęło się nazywać cmentarz żydowski, mimo, że nazwa pochodzi z języka niemieckiego. Jak już wspominałam, jest najlepiej zachowany w Europie (kolejny w Sarajewie), fascynujący. Najstarsza macewa (nagrobek) jest z roku 1439, ostatnia z 1786. Uważa się, że spoczywa tu ponad 12000 ludzi. Nastrój jest niesamowity, bo zaraz za murem biegną ulice z charakterystycznym wielkomięskim hałasem, rosnące drzewa rzucają długie cienie, więc całość wyłania się z mroku...

Kirkut w Koźminie Wlkp.



Przy niektórych grobach zatrzymują się pobożni wierni z całego świata, kładą na nich kamyczki, symbole odmówionej modlitwy. To taki prosty i sympatyczny zwyczaj. Na praskim cmentarzu pochowani są sławni przedstawiciele ich narodu, rabini, lekarze, naukowcy, artyści, kupcy...

Sierpniowe słońce przedzierając się przez gęste gałęzie drzew odrealnia kształty symbolicznych dekoracji macew (lub maceb). Każda stela nagrobna składa się z dwóch części – górna jest płaskorzeźbą nawiązującą do cech zmarłego, dolna zawiera inskrypcje w języku hebrajskim lub w języku miejscowym. Złożone do modlitwy dłonie-kapłan, dzbanek-grób lewity, korona Tory lub księga-uczony, świecznik-kobieta, lew-potomkowie pokolenia Judy... symbole dla wyznawców czytelne, nam każą domyślać się znaczenia. Niektóre macewy mają więcej elementów dekoracyjnych takich jak gzymsy, wnęki, kolumny. To efekt rozwoju detali w różnych okresach historycznych, skromniejsze te renesansowe, bogatsze w ornamenty barokowe, jeszcze bardziej ozdobne z czasów rokoka...

Wróciłam do domu i postanowiłam nieco więcej dowiedzieć się o cmentarzach żydowskich w Polsce, a w szczególności w Wielkopolsce. Jakież było moje zdziwienie, gdy wymieniono ich 117! Oczywiście, nie wszystkie przetrwały do dziś w dobrym stanie, wiele zostało zniszczonych przez hitlerowców jeszcze w 1939 r., o innych zapomniano... W przewodniku przeczytałam, że jednym z najstarszych i do dziś zachowanym jest kirkut w Koźminie Wlkp. o charakterystycznych wysokich macewach. Zdjęcie było tak interesujące, że postanowiłmym z przyjaciółmi wybrać się tam w słoneczną wrześnieową sobotę...

Wiedziałam już, że cmentarz powstał w XVIII w. na gruntach właściciela Koźmina księcia Kazimierza Nestora Sapiehy, który przekazał ponad 0,50 ha gminie żydowskiej i że jest największym w Wielkopolsce. Znalazłam wprawdzie ul. Wierzbową, przy której jest usytuowany, ale gdy nawierzchnia zamieniła się w drogę szutrową, zawróciliśmy. Nie znaleźliśmy żadnego drogowskiego, żadnej informacji, a zatrzymywani przechodnie nie

potrafili nic na ten temat powiedzieć... Na szczęście miła pani z kiosku naprowadziła nas na właściwą drogę. Powiedziała, że nie należy się zniechęcać i tą polną drogą dotrzeć do lasu... Pojechaliśmy „na wycucie” i znaleźliśmy kirkut.

Przed nim znajdowała się pozostałość po tablicy informacyjnej, ale bez jakiegokolwiek tekstu. W przewodniku napisano, że cmentarz „reanimowali” nauczyciele i uczniowie Ośrodka Szkolno-Wychowawczego z pobliskich Borzęciczek i chwala im za to... ale dlaczego nie zainteresowane są nim władze Koźmina, nie mogą zrozumieć... Przecież jest to niewątpliwie interesujący zabytek kultury materialnej, nie mówiąc już o atrakcji turystycznej. Na cmentarzu znajduje się ok. 250 nagrobków, najstarszy z 1806 r., najnowszy i jedyny z inskrypcją po polsku Natana Mośkiewicza z 1969 r.

Większość ma napisy hebrajskie bądź niemieckie (powstały w okresie zaborów). Są bardzo interesujące w formie, smukłe, trochę przypominające starożytne obeliski. Zrobiłam mnóstwo zdjęć, bo nastrój i światło wręcz prowokowały. Las wokół jest liściasty, więc cudownie musi wyglądać w październikowej złotej szacie czy listopadowych mgłach. Położyłam kamyczek na grobie Natana...

Jak już wspominałam, moja wiedza na temat kultury i obyczajowości ludzi wyznania mojżeszowego jest niewielka, ale na szczęście w dobie internetu można znaleźć sporo informacji na tematycznych stronach, np. www.kirkuty.xip.pl. Znalazłam tam wiadomość o kirkutach w Śremie, po których nie ma już śladu... Stary mieścił się w pobliżu ulic Młyńskiej i Dąbrowskiego, nowszy przy drodze do Poznania. Zniszczony przez hitlerowców w 1939 r. nie zachował się. Na miejscu stoi pamiątkowy kamienny pomnik.

W zaduszkowy wieczór pomyślmy ciepło o ludziach innych kultur i tradycji, którzy żyli wśród nas i współuczestniczyli w tworzeniu nowej rzeczywistości, dodajmy choć wymaginowany kamyczek... lub zapalmy świeczkę.

Urszula ŁUKOMSKA
artystka malarka

Pieśń nieśmiertelna

Okiem belfra

Piątkowy poranek, na śremskich ulicach zapanowała piękna, polska, złota jesień, a w starych, zawsze gościnnych murach Muzeum Śremskiego zawitali młodzi ludzie. Z charakterystyczną dla młodości ciekawością i przekorą zasiedli, by wysłuchać... no właśnie – czego? Wykładu? Prelekcji? Pogadanki? Żadne z tych określeń nie oddało tego, co wydarzyło się tego dnia w muzeum. Bo też trudno sklasyfikować to spotkanie, tak jak trudno klasyfikować ciepło wspomnień, czar wzruszeń i wyjątkowość szczerzej rozmowy, jaką z młodzieżą poprowadziła Stanisława Łowińska. Temat spotkania, na które uczniowie Ekonomika przyjęli zaproszenie, brzmiał poważnie, niemalże majestatycznie – „Pieśń nieśmiertelna”. Tymczasem ci młodzi ludzie mieli okazję wybrać się z panią Stanisławą w niezwykle podróż sentymentalną, której kamienie milowe wyznaczały przeżycia związane z najważniejszą dla Polaków pieśnią – Mazurkiem Dąbrowskiego. Podczas spotkania padło niezwykle ważne pytanie: czym dla młodego człowieka jest dziś patriotyzm? Młodzież nieco ociągała się z odpowiedzią, jak gdyby było to coś intymnego, o czym nie wypada mówić publicznie. Pierwsze nieśmiałe słowa, skojarzenia i znalazła się gdzieś odwaga, by mówić o tym, co ważne. O radości i solidarności w rytmie Mazurka, o wielkich emocjach sportowych okraszonych nutą Pieśni Nieśmiertelnej, o dumie i poczuciu jedności, gdy los wygna daleko poza granice i ojczyzna mieści się w kilku prostych słowach „Marsz, marsz Dąbrowski...”.

wyrośliśmy. Trochę żal go wyrzucić, trochę budzi w nas sentyment, ale na wielkie gale już go nie włożymy. Świat gna do przodu w zawrotnym tempie. Rzeczywistość wokół nas zmienia się jak w kalejdoskopie. Przestrzeń naszego życia nabiera rozmiarów globalnych. Przestrzeń, w znaczeniu czas i miejsce, przestaje mieć granice. Stajemy się obywatelami świata. Na jedno „kliknięcie” mamy wokół siebie ludzi z odległych zakątków globu. W oka mgnieniu przesyłamy wiadomości, pokonując tysiące kilometrów. Jakie to wiadomości? Ważne? Warte przekazania? O czym mówimy, piszemy.....? czasem w tym wielkim wyścigu tracimy poczucie tego, co ważne i wartościowe. Gubimy się w zaułkach rzeczywistości, która zmienia się jak gdyby bez naszej woli. Czy w tym świecie jest jeszcze miejsce na słowo tak wielkie jak patriotyzm? Jaki patriotyzm? Romantyków, walczących samotnie o ojczyznę, poświęcających szczęście osobiste i życie? Bohaterów wojennych, ginących na barykadach miast? A może... może chodzi o inny patriotyzm dnia codziennego? O drobne wybory, świadome decyzje, poczucie jedności z sąsiadem zza ściany. Gdzie szukać ojczyzny? W atlasie geograficznym? W wyszukiwarce internetowej? A może tuż obok nas. Wokół nas. W nas. Trudno objąć ramieniem i sercem wielką ojczyznę na miarę Mickiewicza. Łatwiej tę małą, w której wyrośliśmy, która czasem uwiera jak zbyt ciasny płaszcz, ale za to najbliższa, dobrze znana, niezastąpiona.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Dziś patriotyzm to trudne słowo, pojęcie niemożliwe i krępujące, jak płaszcz, z którego już

MUZEUM

Ś R E M Ś K I E

PIEŚŃ NIEŚMIERTELNA

19 października 2012 r. odbyło się spotkanie ze Stanisławą Łowińską, poetką i dziennikarką, autorką wielu publikacji na temat Mazurka Dąbrowskiego. W tej niecodziennej lekcji historii wzięli udział uczniowie Zespołu Szkół Ekonomicznych w Śremie z nauczycielkami historii Katarzyną Grzegorzczuk i Anitą Błąkałą. Całość spotkania została zarejestrowana przez Telewizję Relax. Po opracowaniu przez Grzegorza Pawlaka zostanie wyemitowana w TV Relax.

ZAPIS OBRAZU i FOTOATELIER

23 października 2012 r. młodzież Gimnazjum dwujęzycznego wraz z wychowawczynią Katarzyną Piasecką zapoznała się z dawnymi technikami fotograficznymi, podczas wykładu Szymona Majewskiego, a następnie po przebraniu w kostium z epoki uzyskała fotografie w kolorze sepii, jak z albumu prababki.

WYBITNI ŚREMianie, WYBITNI WIELKOPOLANIE

Cykl wykładów dr Danuty Płygawko

W muzealnym FOTO ATELIER



63-100 Śrem
 ul. A. Mickiewicza 89
 tel/fax: 61 2835938
 www.muzeum.srem.pl
 e-mail: muzeum@srem.pl

Gazeta
 Sremska

Kazimierz Gąsiorowski (1841-1908)
 Życie zawodowe i towarzyskie w księgarni przy
 ul. Poznańskiej

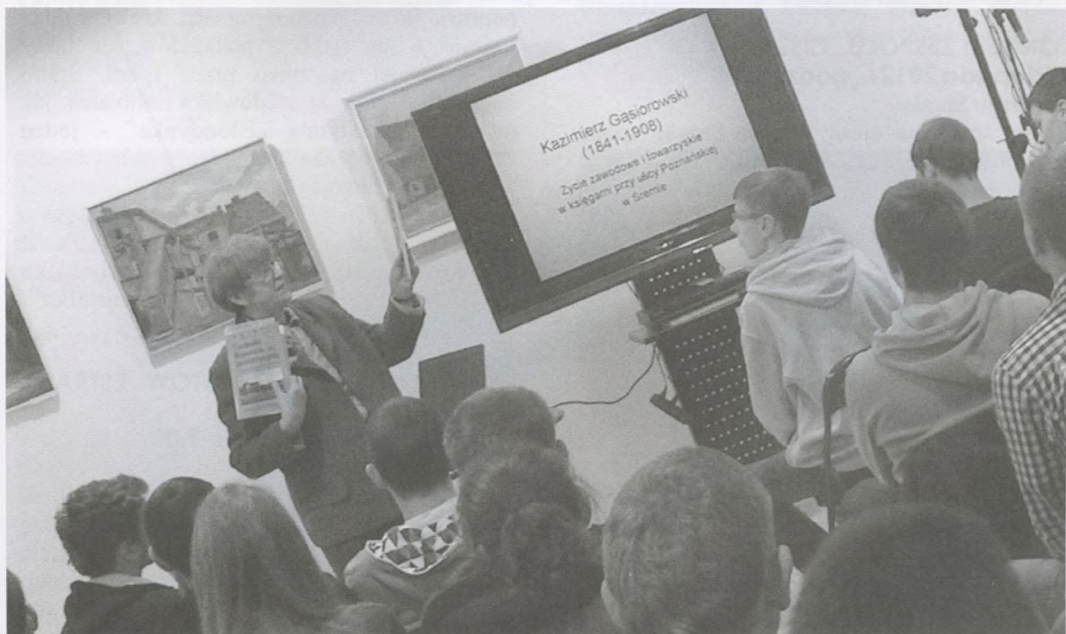
30 października 2012 r. 125 uczniów Zespołu Szkół Politechnicznych, Zespołu Szkół Technicznych, Liceum Ogólnokształcącego oraz Gimnazjum dwujęzycznego w Śremie wysłuchało wykładu dr Danuty Płygawko o księgarzu i drukarzu w Śremie Kazimierzu Gąsiorowskim. Na kolejny wykład zapraszamy 21 i 23 listopada. Tematem będzie: Hr. Władysław Zamoyski (1853-1924).

Od kupna Morskiego Oka po utworzenie Fundacji Kórnickiej

WRÓŻBY, CZARY, PRZEPowiednie

Od **12 listopada 2012 r.** szkoły i przedszkola ze Śremu i okolic uczestniczą w niezwykle interesujących zajęciach andrzejkowych. W tajemniczym półmroku mają okazję dowiedzieć się, jak wróżyły sobie ich prababcie i co te poszczególne wróżby oznaczały. Zainteresowanie zajęciami jest ogromne, gdyż tego typu temat i w tak ciekawy sposób przerabiany jest w Muzeum Śremskim po raz pierwszy

Wykłady Danuty Płygawko z cyklu Wybitni Śremianie, Wybitni Wielkopolanie





Śremski Ośrodek Kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel. 61 2835904, fax 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

SPOTKANIE CYKLU „PASJONACI 50+”

8 listopada 2012 r., godz. 17.00

- kinoteatr Słonko

„Pasjonaci 50+” to cykl spotkań skierowany do mieszkańców miasta i gminy, moderowany przez Zbigniewa Hoppe - pasjonat muzyki i filmu. Podczas spotkań zwykle przybliżana jest postać kogoś znaczącego dla polskiej kultury i sztuki, do tej pory były to m. in. Hanka Bielicka czy Violetta Villas.

Najbliższe spotkanie poświęcone będzie życiu i twórczości Anny German. Podczas spotkania wystąpią artyści Filharmonii Poznańskiej, wykonując piosenki tej wspaniałej wokalistki.

Tematem spotkań w grudniu i styczniu będzie Czesław Niemen i Marek Grechuta – ikony polskiej sceny muzycznej.

KONCERT ZESPOŁU „CISZA JAK TA”

9 listopada 2012 r., godz. 19.00

- kinoteatr Słonko

Poezja śpiewana cieszy się w Śremie sporą popularnością. 9 listopada po raz kolejny dźwięki tego gatunku zabrzmiały w Słonku, tym razem za sprawą kołobrzесьkiego zespołu „Cisza Jak Ta”. Znakiem rozpoznawczym zespołu są bogate aranżacje wykonywanych utworów. Ze względu na mnogość instrumentów zyskują one młode, malowane brzmieniem fletu, skrzypiec i saksofonu oblicze. Trzy gitary i delikatna perkusja są dopełnieniem muzycznego całokształtu.

W ciągu 9 lat działalności zespół wydał 5 płyt oraz zagrał ponad 300 koncertów. Koncerty „Ciszy Jak Ta” prowadzą słuchaczy przez górskie połoniny, morskie brzegi, czy brukowane ulice miast opowiadając słowem i dźwiękiem o miłości - „spiritus movens” życiowej wędrówki, we wszystkich jej barwach

i odcieniach. W warstwie tekstowej, poza pieśniami autorskimi znaleźć można utwory takich wykonawców jak Agnieszka Osiecka, Bolesław Leśmian czy Jonasz Kofta.

WYSTĘP KABARETU „PARANIENORMALNI”

10 listopada 2012 r., godz. 17.00

- hala Bazar

10 listopada o godz. 17.00 w hali Bazar wystąpi kabaret Paraniennormalni, pochodzący z Jeleniej Góry, chociaż w dwóch-trzecich mieszkający w Warszawie. Kabaret powstał pod koniec roku 2004, a parę miesięcy później miał już pierwszy program, z którym wystartował na Festiwalu Paka 2005. Od razu zaszedł daleko, bo do wieczoru ostatniej szansy. Później były już same sukcesy. Paraniennormalni mówią o sobie, że są popowi. W swoich programach używają dużo muzyki – nie tylko z podkładów, ale także wykonywanej na żywo przez Igora. Sporo inspiracji czerpią ze środowiska nastolatka, jak na przykład słynna „Blondynka” - jeden z najczęściej oglądanych numerów w Internecie. Wiele skeczy stworzyli także podczas obserwacji świata zwierząt – gołębie na dachu, czy numer o musze i pajaku, który zakrawa na dramat psychologiczny. Rozpowszechnili kilka powiedzonek, jak „hejka”, „krejzółka”, „ja pikole” i „bez kitu, nie?”.

WIELKI PRZEGLĄD TALENTÓW ESTRADY „TANDEM SHOW”

16 listopada 2012 r., godz. 9.00

- kinoteatr Słonko

To czwarta już edycja przeglądu, podczas którego uczniowie śremskich szkół mają okazję zaprezentować swoje umiejętności. Rywalizacja odbywa się w trzech kategoriach: wokalne, taneczne oraz playback show. Występować można solo, w duecie albo wraz z całym

zespołem. Laureaci przeglądu wystąpią podczas imprezy plenerowej „Jarmark Świąteczny na deptaku”.

GITAROWY REKORD GUINNESSA w Śre- mie, warsztaty gitarowe oraz koncert zespołu „Leszek Cichoński Trio”

29 listopada 2012 r., godz. 15.00, 19.00

- kinoteatr Słonko

Leszek Cichoński to dobrze znany polski gitarzysta i wokalista bluesowy, kompozytor i aranżer. W swojej długoletniej karierze współpracował m. in. z Wojciechem Karolakiem, Jerzym Styczyńskim, Johnem Tuckerem, Robertem Jarmużkiem czy Markiem Kapłonem. Jest wykładowcą warsztatów muzycznych w Brodnicy, Zakrzewie i Bolesławcu. Organizuje we Wrocławiu „Thanks Jimi Festiwal” poświęcony Jimiemu Hendricksowi.

Warsztaty w kinoteatrze „Słonko”, które rozpoczną się o godz. 15.00 są więc doskonałą okazją, by podszkolić nieco swój warsztat gry na gitarze. W końcu nie co dzień istnieje możliwość nauki od najlepszych. Główną atrakcją wieczoru będzie jednak koncert „Leszek Cichoński Trio”, podczas którego zostanie zaprezentowany bogaty repertuar artysty.

SPOTKANIE CYKLU „PASJONACI 50+”

6 grudnia 2012 r., godz. 17.00

- kinoteatr Słonko

Kolejne spotkanie cyklu. Niespodzianka –

zapraszamy na stronę www.sok.srem.pl, gdzie niebawem pojawi się więcej szczegółów. Moderatorem spotkań jest Zbigniew Hoppe.

„JARMARK ŚWIĄTECZNY NA DEPTAKU”

6 grudnia 2012 r., godz. 10.00-18.00

- deptak na Osiedlu Jeziorany

Impreza plenerowa, której głównym założeniem jest wprowadzenie mieszkańców miasta w klimat zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia. Na śremlan czekają liczne atrakcje, takie jak: jarmark świąteczny, podczas którego zaprezentują się wystawcy rękodzieła artystycznego, koncerty, występy artystyczne, animacje i zabawy dla dzieci. Jak co roku przygotowany zostanie także poczęstunek w postaci pierników, słodczy i owoców.

II MIĘDZYNARODOWY WEEKEND FILMOWY 14-16 grudnia 2012 r.

- kinoteatr Słonko

W związku z otwarciem kinoteatru „Słonko” po cyfryzacji w dniach 14-16 grudnia odbędzie się Międzynarodowy Weekend Filmowy. Tym razem tematem przewodnim będzie rozliczenie się z najnowszą historią Polski. Kuratorem festiwalu został po raz kolejny Wojciech Kałużyński. Gościem specjalnym będzie zespół Retrospective z Leszna; grający szeroko rozumiany rock progresywny. Pojawiają się też polscy reżyserzy.



Internet w bibliotece

Podstawowym zadaniem każdej biblioteki jest dostarczanie czytelnikowi źródła informacji – głównie w postaci książki lub czasopisma. Jeszcze do niedawna biblioteka kojarzyła się z regałami książek, katalogami, w których trzeba wyszukiwać potrzebną publikację, potem wypisywać rewers i czekać na książkę, często wypożyczoną już przez innego czytelnika. W obecnych czasach dla użytkowników bibliotek najważniejsza jest szybkość usług i tu pojawia się Internet. Dzięki Internetowi mamy dostęp do milionów informacji i możemy też, siedząc w domu, przeglądać np. katalogi wielu bibliotek, sprawdzać dostępność książek oraz rezerwować wypożyczenia.

Bez wątpienia biblioteki są instytucjami, w których należy wdrażać publiczny dostęp do Internetu. Wynika to przede wszystkim ze szczególnej roli, jaką one spełniają w budowaniu społeczeństwa informacyjnego. Biblioteka jest najbardziej naturalnym i najskuteczniejszym miejscem, gdzie powinno się udostępniać Internet i edukować społeczeństwo w jego racjonalnym wykorzystaniu.

W Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy w Śremie, z początkiem 2006 roku, uruchomiono Klub Internetowy dla osób niepełnosprawnych. Projekt w części sfinansowany został ze środków PFRON-u. Celem działalności klubu jest zwiększenie udziału osób starszych i niepełnosprawnych w życiu społecznym i zawodowym oraz zapewnienie im bezpłatnego korzystania z informacji, jakie można znaleźć za pomocą Internetu. Z klubu korzystać może także młodzież szkolna, jednak głównymi beneficjentami są osoby starsze i niepełnosprawne. Spotkania odbywają się dwa razy w tygodniu, po dwie godziny, w pracowni wyposażonej w 6 zestawów komputerowych z najnowszym oprogramowaniem i dostępem do Internetu.

Przekonanie, że Internet i komputery to domena młodych, przestaje być aktualne. Starsi ludzie coraz chętniej i śmielej uczą się nowych technologii, choć osoby, które skończyły 55 lat, stanowią w Polsce niewielki procent internetowej społeczności. Powodem tego nie jest niechęć ludzi starszych do komputerów, ale raczej brak warunków do nauki i bariery psychiczne związane z nowymi technologiami.

Jednak „diabeł” nie jest taki straszny. Dzięki uczestnictwu seniorów w bibliotecznych kursach komputerowych poznają oni podstawy wiedzy informatycznej i szybko nabywają umiejętności posługiwania się nowymi technologiami informacyjnymi. Z kursów skorzystało już ok. 120 osób. Seniorzy brali też udział w dwóch ogólnoeuropejskich kampaniach „TYDZIEŃ Z INTERNETEM”, koordynowanych przez Telecentre-Europe. Kampanie te mają na celu zachęcenie jak największej liczby osób do poznania możliwości Internetu. W Polsce akcję koordynuje Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego (FRSI), a hasłem przewodnim kampanii jest *Aktywność osób starszych i solidarność międzypokoleniowa*. W marcu 2011 roku w klubie internetowym realizowany był scenariusz pt. „PORADNIA ZDROWIA”. Seniorzy-internauci odwiedzali strony internetowe dotyczące m.in. zdrowia psychicznego, depresji, medycyny ludowej i wiele innych. Zaskoczeni byli ilością znalezionych informacji na wszystkie tematy. W roku 2012 r. wybrali projekt „W 80 minut dookoła świata” i odbyli wirtualną podróż po wielu kontynentach, która pozwoliła na integrację, wywoływała śmiech i emocje związane z odkrywaniem nowych rzeczy.

Od września 2012 w bibliotece uruchomiony został bezpłatny komputerowy kurs języka angielskiego dla dorosłych „Angielski 123”.

Biblioteka otrzymała dostęp do kursu bezpłatnie, dzięki udziałowi w Programie Rozwoju Bibliotek. Jest to wspólne przedsięwzięcie firmy *Funmedia* i Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego. Z kursów prowadzonych w siedzibie głównej biblioteki, w filii na Jezioranach oraz filii w Niesłabinie, docelowo także w Pyszącej, korzysta łącznie ok. 70 osób.

Jak wykazały badania Internet nie stanowi zagrożenia dla działań tradycyjnej biblioteki, jest tylko uzupełnieniem jej pracy. Długo jeszcze współistnieć będą ze sobą książki drukowane z elektronicznymi wydawnictwami. Zawsze znajdą się czytelnicy, którzy wybiorą specyficzną atmosferę biblioteki i kontakt z tradycyjną książką.

Z przeprowadzonej w 2011 roku sondy wynika, że wśród osób odwiedzających stronę internetową śremskiej biblioteki jest 22,2% osób pracujących, 14,6% uczniów szkół ponadgimna-

zjalnych, 13% studentów, 13,5% uczniów szkół podstawowych, 12,5% gimnazjalistów, 9,7% bezrobotnych i aż 14,5% emerytów i rencistów.

Prowadzenie strony internetowej zwiększa dostępność i atrakcyjność każdej biblioteki, umożliwia też pozyskanie nowych odbiorców. W roku 2012 w zorganizowanym przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu konkursie pt. **aktualnie wirtualnie czyli serwis www** celem było wyłonienie najlepszego pod względem użyteczności serwisu bibliotecznego oraz promocja dobrych praktyk w zakresie funkcjonowania biblioteki publicznej w sieci Internet. Komisja konkursowa, po ocenie stron www. 21 zgłoszonych bibliotek, przyznała 3 równorzędne nagrody, w tym Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy im. Heliodora Świećickiego w Śremie.

Jerzy STANKIEWICZ

Uczestnicy komputerowego kursu języka angielskiego dla dorosłych



PARTNERSTWO DLA BIBLIOTEK

7 września 2012 – w restauracji *Cafe ole!*, a **25 września** w *Don Giovanni*, odbyły się spotkania, których celem było budowanie partnerskiej współpracy między Biblioteką Publiczną a różnymi instytucjami i stowarzyszeniami. Podczas spotkania ideę partnerstwa oraz wartości płynące z partnerskiej współpracy zaprezentował Damian Dec z Centrum Wspierania Aktywności Lokalnej. Podczas dyskusji poszukiwano obszarów możliwego partnerstwa i uzgodniono zadania, które znalazły się w planie działania na lata 2012–2013.

ODBYŁ SIĘ II PIKNIK KOLEJOWY

15 września 2012 – odbył się w Śremie II Piknik Kolejowy zorganizowany przez Urząd Miejski i Bibliotekę Publiczną przy współpracy ze Stowarzyszeniem Kolejowych Przejazdów Lokalnych (SKPL) i spółką Przewozy

Regionalne. Uruchomione zostały trzy specjalne połączenia kolejowe na trasie Śrem – Czempin – Śrem, z których skorzystało ponad 1500 pasażerów. Podczas pikniku biblioteka zorganizowała zajęcia dla dzieci. Książkami i dyplomami nagrodzono laureatów wakacyjnego quizu o życiu i twórczości Astrid Lindgren. Można było skorzystać z przejażdżki dreżyną, kupić książeczki o tematyce kolejowej i posilić się na peronowym bistro (placki i kawę sponsorowała restauracja *Gabała*. Dziękujemy!). Czas podróży umilały śremskie kapele: *Śrymioki* i *Chabry*. Za pomoc finansową w pikniku organizatorzy serdecznie dziękują Firmie WAWRZYNOWICZ i Spółdzielczemu Bankowi Ludowemu w Śremie.

BICYKLE NAD WARTĄ

23 września 2012 – po raz czwarty odbyła się plenerowa impreza z cyklu *Promenada jak za*



dawnych lat – w tym roku pod hasłem BICYKLE NAD WARTĄ i korespondowała z miejską akcją *Rowerowy Śrem*. W imprezie udział wzięła grupa cyklistów z Łodzi, którzy w kostiumach retro pokazali triki i ewolucje rowerowe, chętnych uczyli jazdy na historycznych rowerach oraz zaprezentowali swoje bicykle w parady na moście i promenadzie. W korowodzie udział wzięli również uczestnicy konkursu „Cyklista retro”. Wśród cyklistów i uczestników konkursu mody retro rozlosowano dwa rowery ufundowane przez Green Bike.

Więcej na stronie www.biblioteka.srem.pl

JAN GRZEGORCZYK W DKK

25 września 2012 - w restauracji *Cafe Ole!* Dyskusyjny Klub Książki gościł pisarza Jana Grzegorzczaka, autora słynnej przed laty trylogii o księdzu Groserze, wielu książek, scenariuszy filmów dokumentalnych i słuchowisk radiowych (m.in. *Cudze pole*, *Chaszcze*, *Puszczyk*)

MUZTAGH ATA AXPEDITION 2012

27 września 2012 – rozpoczął się dziewiąty rok wykładów w Uniwersytecie Ludzi Ciekawych Świat@. Na inauguracji zajęć, o wyprawie życia na siedmiotysięcznik Muztagh Ata w Pamirze, opowiedział uczestnik ekspedycji Marcin Helak.

VI GMINNY KONKURS CZYTELNICZY

10 - 11 października 2012 – w szkołach podstawowych odbył się I etap VI Gminnego Konkursu Czytelniczego pt. *Podróż dookoła książek Astrid Lindgren*, realizowanego przez Urząd Miejski i Bibliotekę Publiczną Miasta i Gminy w Śremie. Reprezentanci wszystkich szkół spotkają się w finale 14 listopada w Klubie Wojskowym.

W MALINOWYM CHRUSIAKU

24 października 2012 – w oddziale dla dzieci i młodzieży biblioteki publicznej przy ul. Kilińskiego, odbył się wieczór poezji Bolesława Leśmiana pt. *W malinowym chrusiaku*. Bibliotekarki – Ewa Urbanowicz i Renata Mozdzierz, wraz z uczniami i nauczycielkami Gimnazjum nr 2, zaprezentowały uczestnikom spotkania wybrane wiersze Leśmiana.

Na spotkaniu zjawili się blisko 30 miłośników poezji.

KOGO ZNALI BRACIA BARSCY?

25 października 2012 – Kogo z moźnych w Europie znali Barscy i w jakich kręgach się obracali na przełomie XVI/XVII wieku? Na to pytanie, zaspokajając ciekawość ok 80 słuchaczy, odpowiedział dr Wojciech Szafrński, adiunkt w Katedrze Prawa Rzymskiego i Historii Prawa Sądowego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, podczas 76. wykładu w Uniwersytecie Ludzi Ciekawych Świat@.

„PAN TADEUSZ” – MÓW LUB MALUJ

7 listopada 2012 – w auli Jana Pawła II przy kościele NSJ w Śremie rozstrzygnięty został konkurs recytatorski i plastyczny zorganizowany przez Katolickie Centrum Edukacji i Kultury oraz Bibliotekę Publiczną z okazji dwusetnej rocznicy wydarzeń opisywanych przez Adama Mickiewicza w *Panu Tadeuszu*.

XXXV LISTOPAD POETYCKI

8 listopada 2012 – podczas „Dnia Śremskiego” XXXV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, w bibliotece publicznej, odbyło się spotkanie burmistrza Śremu Adama Lewandowskiego z zaproszonymi poetami: Aldoną Borowicz-Tchórzewską, Zdzisławą Kaczmarek, Niną Szmyt, Romualdem Mieczkowskiem i Litwinem – Alisem Balbierisem. Po spotkaniu poeci udali się na lekcje poetyckie do śremskich gimnazjów i Liceum Ogólnokształcącego.

SYBERIA

29 listopada 2012 – śladami Maurycego Beniowskiego i innych zesłańców, podczas 77. wykładu w Uniwersytecie Ludzi Ciekawych Świat@, poprowadził słuchaczy Krzysztof Kryza, który z ekipą podróżników odbył trzymiesięczną wyprawę na Syberię. Zapraszamy o godz. 18.15 do Collegium Heliodora Święcickiego.



Natalia Lissek

Księżarka, aktorka

Gazeta Śremska

siedziba redakcji - Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 61 2835938
e-mail: muzeum@srem.pl www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Barbara JAHNS (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korektorka)

Projekt okładki i układu typograficznego

Patrycja ŁUKOMSKA

Okładka:

Aranżacja i fotografia - Szymon Majewski

Skład i druk:

Zakład Poligraficzny Stanisław Tomczak
tel. 61 2841208 www.drukarniasrem.pl



ul. Szkolna

FOTOGRAFIA ZE ZBIORÓW MUZEUM ŚREMSKIEGO

DOKUMENTY.



FOTOGRAFIA WSPÓŁCZESNA, AUTOR: SZYMON MAJEWSKI

Muzeum Śremskie w Śremitu

oraz

Ośrodek Pomocy Społecznej w Śremitu

zapraszają

na

**MELANCHOLIJNĄ
PODRÓŻ W CZASIE**

oraz

**FOTOGRAFICZNY PORTRET
W STYLU RETRO**

9 listopada 2012 (piątek) godz. 16.00
4 listopada 2012 (środa) godz. 10.30

Spotkanie prowadzi Urszula Bryłewska
Łukomska oraz pracownicy Muzeum.

W programie :

WYKŁAD

"Ubiór na przełomie XIX i XXw.

Prosimy o zabranie ze sobą fotografii
z rodzinnych albumów w celu
wykonania przez Muzeum reprodukcji.

WYSTAWA

z pozyskanych zdjęć

ATELIER

Uzyskanie Państwa fotografie portretowe
w kolorze sepia jak z albumu prababki

KAWIARENKA

z pyszną kawą i ciastem

Udział w spotkaniu jest bezpłatny.

KONTAKT:

OPS - 61 28 30 006

MUZEUM - 61 28 35 938



Aktivność się opłaca



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRAŻA PRAWOŚCI



ŚREMITO

MUZEUM

UMIA EUROPEJSKA
DUPICZKO
FUNDUSZ SPOŁECZNY



Spotkanie jest realizowane przez Ośrodek Pomocy Społecznej w Śremitu przy współudziale Muzeum Śremskiego w ramach działań środowiskowych, które są jednym z elementów projektu systemowego „Aktivność się opłaca” współfinansowanego przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego